MAGAZYN

Jak Wiskord stał się największym dystrybutorem narkotyków
– Str. 10-11

Co zostanie dla nas, gdy oddamy sztucznej inteligencji myśli i uczucia
– Str. 24-26

Telemagazyn z programem telewizyjnym i zapowiedziami najciekawszych programów

Nr ISSN 0137-9178
Nr indeksu 348-570
9 770137 917052 43

www.gs24.pl

Nr 247 (6005) | Nakład: 9.505 | Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

GŁOS SZCZECIŃSKI
DZIENNIK POMORZA
79 lat

Piątek, 23.10.2026

ROZMOWA
Prof. Mikołaj Małecki, karnista: Szokująca prędkość na drodze powinna się kończyć szokującą karą. Skrajnie niebezpieczna jazda powinna uzasadniać odpowiedzialność za zabójstwo z zamiarem ewentualnym

KRAJ
Temat aborcji wraca ze zdwojoną siłą: na ulice i do parlamentu. Protesty „Czerwona kartka za aborcję" odbyły się w wielu miastach

Relaks
Krzyżówki do kawy. Nowości w programie TV

Komunikacja

Gumieńce stoją w korkach. Miasto przyznaje, że będzie gorzej

Wyjazd z osiedla, który powinien zająć minutę, trwa nawet 20 minut. Na kompleksową analizę i większe inwestycje nie ma jednak szans.
– Str. 3

Ekologia

Łarpia zarasta. W ruch musiała pójść kosząca amfibia

Na Łarpi w Policach trwają prace związane z usuwaniem nadmiernej roślinności. Ma to poprawić wymianę wody
– Str. 4

Podczas festynu w Chełmie Górnym rozdawano kubki z wizerunkiem generała z Wehrmachtu
– Str. 4

Szpicbródka skradł serca widzów. Minęło 48 lat od premiery filmu „Hallo, Szpicbródka, czyli ostatni występ króla kasiarzy"
– Str. 23

FOT. CC

Święto Edukacji Narodowej

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

Nagrody i odznaczenia dla najlepszych nauczycieli

Życzę uznania nie tylko od święta, ale również na co dzień - mówił kurator Paweł Palczyński Str. 3

Z takim wynikiem siedział za kierownicą

Blisko 4 promile u kierowcy

Opr. red.

To był rekordowy pomiar. Blisko cztery promile alkoholu miał kierowca zatrzymany przez policjantów z P olic. Mężczyzna podczas parkowania uszkodził inny samochód. Teraz grozi mu do trzech lat więzienia.

Dyżurny Komendy Powiatowej Policji w Policach otrzymał zgłoszenie o kierowcy samochodu osobowego, który mógł być nietrzeźwy. Funkcjonariusze pojechali we wskazany rejon i zauważyli opisany pojazd. Policjanci podjęli próbę kontaktu z mężczyzną siedzącym za kierownicą. Szybko zwrócili uwagę na jego problemy z mową oraz silną woń alkoholu. Na miejscu ustalili również, że podczas manewru parkowania kierujący uszkodził inny pojazd.

Mieszkaniec Szczecina został przewieziony do jednostki policji, gdzie usłyszał zarzut prowadzenia pojazdu w stanie nietrzeźwości.

REKLAMA 0011596521

eprasa.pl a96f14b85b

POLECAMY

JUTRO: Z 24 na 25 października zmieniamy czas. Jak to wpłynie na sen i koncentrację?

23.10.2026
Piątek

Dziś imieniny obchodzą: Bartłomiej, Jan, Marlena
Telefon alarmowy: 112

GP24.pl GK24.pl GS24.pl

POLSKA PRESS GRUPA

PBC

Redaktor naczelny Jarosław Jaz
Z-cy redaktora naczelnego Marcin Stefanowski, Wojciech Frelichowski, Ynona Husaim-Sobecka
Wydawca Ynona Husaim-Sobecka, Jarosław Jaz, Wojciech Frelichowski, Marcin Stefanowski, Piotr Polechoński
www.gp24.pl
www.gk24.pl
www.gs24.pl

Polska Press Makroregion Pomorze
Redakcja Słupsk, ul. Henryka Pobożnego 19, tel. 59 848 81 00, redakcja.gp24@polskapress.pl; Koszalin, ul. Partyzantów 17, tel. 94 347 35 52, redakcja.gk24@polskapress.pl; Szczecin, Al. Niepodległości 26/U1, tel. 91 481 33 00,redakcja.gs24@polskapress.pl,
Prezes Makroregionu Piotr Grabowski
Dyrektor reklamy Ewa Żelazko
Druk Polska Press Oddział Poligrafia, 85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa, tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
Prezes Zarządu Polska Press Grupy Robert Feluś
Redaktor naczelny Polska Press Grupy Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.gp24.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Komentarz dnia

Marek Mazurkiewicz: Makiawelizm po amerykańsku, czyli paktowanie z diabłem

publicysta

Napisany pięć wieków temu utwór Niccolò Machiavellego „Książę" to do dziś skarbnica wiedzy o mechanizmach rządzących polityką. Ponadczasowość „Księcia" polega na tym, że przedstawia politykę taką, jaka jest naprawdę, a nie taką, jaka powinna być, albo taką, jaką dawni i obecni rządzący starają się przedstawić.

Machiavelli radził władcom swojej epoki, by łączyli w sobie lwa i lisa - dominowali i odstraszali, a jednocześnie przebiegłością i sprytem zapewniali sobie przewagę nad rywalami. W tej perspektywie polityk nie kieruje się moralnością, a jedynie celem, jaki chce osiągnąć.

Utarło się, że „makiawelizm" to słowo określające działania polityków, którzy kierują się zasadą, że „cel uświęca środki". W takiej polityce nie ma miejsca na wartości, te są jedynie pozorowane, zastępują je: kłamstwo, manipulacja, łamanie zobowiązań, a nawet przemoc.

Donald Trump w rozwijaniu makiawelicznej polityki idzie o krok dalej. W ostatnich dniach, najpierw dogadał się z Władymirem Putinem w sprawie dostaw rosyjskiego oleju napędowego na rynek amerykański i światowy, następnie samodzielnie ogłosił, że Ukraina i Rosja ogłosiły rozejm w sprawie wzajemnych ataków na infrastrukturę energetyczną...

Prezydent Stanów Zjednoczonych nie sili się nawet na pozory, jego nieskrywanym celem jest wyłącznie złagodzenie nastrojów amerykańskich wyborców przed listopadowymi wyborami do Kongresu i Senatu, zirytowanych wysokimi cenami paliw. Ten cel uświęca nawet paktowanie z diabłem.

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj
„Głos Pomorza"
„Głos Koszaliński"
„Głos Szczeciński"

tel. 94 340 11 14
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.gp24.pl

POGODA

dziś 14°C/8°C

jutro 11°C/6°C

ROZMOWA

Szokująca prędkość na drodze powinna się kończyć szokującą karą

Mira Suchodolska (PAP)

Rozmowa z prof. Mikołajem Małeckim z Uniwersytetu Jagiellońskiego, autorem portalu DogmatyKarnisty.pl

Sąd Rejonowy w Piotrkowie Trybunalskim skazał w środę Sebastiana M. na osiem lat więzienia za spowodowanie wypadku na autostradzie A1 we wrześniu 2023 r. Zginęła w nim trzyosobowa rodzina. Orzekł również 15-letni zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych oraz zadośćuczynienia w łącznej wysokości 2,5 mln zł – po 500 tys. zł dla każdego z rodziców zmarłych oraz brata jednej z ofiar.

Sąd wymierzył Sebastianowi M. osiem lat więzienia, zgodnie z wnioskiem prokuratury. Czy możliwe było przyjęcie innej kwalifikacji prawnej, która pozwalałaby na surowszą karę?

Prokurator podejmuje decyzję, jaką kwalifikację przyjąć. Bazuje na wiedzy i dotychczasowej interpretacji przepisów. Wybiera kwalifikację, która najbardziej pasuje do danej sprawy i którą da się obronić w sądzie. Nie można zarzucić prokuraturze, że popełniła jakiś błąd. Oskarżenie sprawcy o wypadek to bezpieczna opcja. To, że grozi za to „tylko" osiem lat, wynika z tego, że przepis o wypadku obejmuje przede wszystkim nieostrożne zachowania w normalnym ruchu. Ktoś się zagapi, ktoś nieco przekroczy prędkość i zdarza się wypadek. Osiem lat za taką zwykłą nieostrożność to dość dużo.

Pan uważa jednak, że przy tak ogromnej prędkości nie powinniśmy mówić o zwykłym wypadku. Dlaczego?

Szokująca prędkość na drodze powinna się kończyć szokującą kwalifikacją prawną. Jazda z prędkością 300 km/h świadczy o całkowitej obojętności kierowcy na los innych ludzi. Ich życie zostaje oddane w ręce losu, bo przy takiej prędkości kierowca nie ma realnej szansy na uniknięcie zagrożenia.

FOT. WIKIPEDIA

Mikołaj Małecki: - Jazda z prędkością 300 km/h świadczy o całkowitej obojętności kierowcy na los innych

Ale czy można mówić o zabójstwie, skoro kierowca nie chciał nikogo zabić?

Kodeksowe zabójstwo nie musi polegać na tym, że ktoś chce czyjejś śmierci. Nikt nie twierdzi, że pirat drogowy „chce zabić". Ale zamiar to również przewidywanie ryzyka, jakie się stwarza, i godzenie się na to, że jego finał może być tragiczny. Czyli tzw. zamiar ewentualny. Przy prędkości rzędu 300 km/h taka kwalifikacja prawna jest uzasadniona, bo taką prędkością kierowca odbiera sobie szansę, by panować nad ryzykiem.

Łukasz Żak został skazany na 20 lat więzienia, a Sebastian M. na osiem. Skąd tak wielka różnica?

To brzmi dziwnie, gdy czytamy w nagłówkach: „Zginęły trzy osoby, prokurator domaga się ośmiu lat więzienia". Tylko ośmiu lat. Ale tak naprawdę domaga się maksymalnej możliwej kary za wypadek, jeśli przyjmie, że kierowca działał nieumyślnie. W sprawie Łukasza Ż. nie trzeba było skazywać sprawcy za zabójstwo, ponieważ kara za wypadek została zaostrzona przez alkohol i zbiegnięcie sprawcy z miejsca zdarzenia. Stąd 20 lat wymierzone w tamtej sprawie. Gdyby nie te dodatkowe okoliczności, jemu też groziłoby maksymalnie osiem lat.

Czy to znaczy, że kierowca trzeźwy, który świadomie jedzie z ekstremalną prędkością, może ponieść łagodniejszą karę niż pijany?

Zaostrzenie kary dla pijanego kierowcy ma sens, bo on nigdy nie powinien znaleźć się w tym aucie. Więc nie ustalamy, jaki to miało wpływ na wypadek, bo jego tam w ogóle nie powinno być. W przypadku kierowcy trzeźwego większy nacisk powinien być położony na jego świadomy wybór. Jesteś trzeźwy i dorosły, więc zdajesz sobie sprawę z ogromnego ryzyka, jakie stwarzasz. Jeśli mimo to pędzisz na złamanie karku, godzisz się na skutki, czyli popełniasz zabójstwo, jeśli dojdzie do tragedii.

Czy obrona nie mogłaby argumentować, że taki kierowca po prostu nie uświadamiał sobie zagrożenia?

Często słyszę argument, że piraci drogowi są „głupi" i nie przewidują konsekwencji szaleńczej jazdy. Argument ma udowodnić, że pirat drogowy nie ma świadomości, że zagraża życiu ludzi, więc nie można go skazać za zabójstwo. To mit. Nie każdy prujący ponad dwieście na godzinę jest „głupi". Czasami jest tak, że pirat po prostu lubi ryzyko. To jak z kasynem: wiesz, że wchodząc do kasyna, skrajnie ryzykujesz, nie chcesz zbankrutować, a jednak grasz. Tak jak w kasynie godzisz się na porażkę (a jednak grasz), tak na drodze igrasz z ludzkim życiem i godzisz się na śmiercionośne ryzyko, a jednak pędzisz przed siebie, łamiąc wszelkie normy.

eprasa.pl a96f14b85b

KOMUNIKCJA

Gumieńce stoją w korkach. A ma być jeszcze gorzej

Mariusz Parkitny

Wyjazd z osiedla, który powinien zająć minutę, trwa nawet 20 minut. Przejazd przez Gumieńce zamiast kilkunastu minut potrafi zająć 40. Władze Szczecina przyznają, że ruch rośnie, a korki będą się wydłużać. Na kompleksową analizę i większe inwestycje nie ma jednak na razie planów.

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

Władze Szczecina przyznają, że nie ma co liczyć na poprawę sytuacji

Poranny wyjazd z Gumieniec to dla wielu kierowców codzienna próba cierpliwości. Samochody stoją na ulicach Świętej Kingi, Kwiatowej, Europejskiej i Ku Słońcu. Problemy pojawiają się również w rejonie pętli tramwajowej.

Radny Stanisław Kaup zwrócił się do prezydenta Szczecina o kompleksowe zbadanie sytuacji. Jak podkreśla, nie są to korki spowodowane wyłącznie remontami.

- Zatory w tym rejonie występują od lat i systematycznie się nasilają - alarmuje radny.

Według jego obserwacji przejazd zajmujący normalnie 10–12 minut wydłuża się w szczycie nawet do 40 minut. Sam wyjazd ze Świętej Kingi w Europejską może pochłonąć 20 minut.

Kaup obawia się, że dalsza zabudowa osiedla i podłączenie obwodnicy Mierzyna do Ku Słońcu jeszcze pogorszą sytuację.

- Wyjazd z Gumieniec będzie trwał ponad godzinę! - ostrzega.

Proponuje między innymi sprawdzenie możliwości wydłużenia zielonego światła na skrzyżowaniu Europejskiej i Wrocławskiej. Chce też przeanalizowania alternatywnej trasy przez Krakowską, Wierzbową i Mieszka I.

Z odpowiedzi zastępcy prezydenta Łukasza Kadłubowskiego wynika, że ostatnią zmianę programu świateł na skrzyżowaniu Europejskiej, Wrocławskiej i Krakowskiej przeprowadzono w listopadzie 2018 roku. Wydłużono wtedy zielone światło dla samochodów jadących Wrocławską od strony Okulickiego.

Dzisiaj podobna korekta nie byłaby już tak prosta. Na początku roku zakończyło się wsparcie techniczne producenta sterownika sygnalizacji. Jego przeprogramowanie wymagałoby wymiany całego urządzenia.

Koszt dokumentacji miasto szacuje na około 20 tys. zł, a nowego sterownika wraz z zaprogramowaniem na 160–180 tys. zł.

Kadłubowski zaznacza , że „wydłużenie sygnału zielonego dla którejkolwiek z relacji na danym skrzyżowaniu zawsze pogorszy warunki ruchu dla pozostałych relacji".

ZDiTM dysponuje aktualnymi pomiarami natężenia ruchu na Ku Słońcu, rondach Gierosa i Uniwersyteckim oraz na skrzyżowaniu Europejskiej, Wrocławskiej i Krakowskiej. Wyniki potwierdzają, że samochodów przybywa. Miasto wiąże to przede wszystkim z rozbudową mieszkaniową.

- Wzrost zapotrzebowania na transport, przy ograniczonych możliwościach rozbudowy infrastruktury drogowej, skutkuje i nadal będzie skutkował narastaniem zatorów i wydłużeniem czasu przejazdu - przyznaje Kadłubowski.

Co zatem może poprawić sytuację? Miasto wskazuje na obwodnicę Mierzyna, Zachodnią Obwodnicę Szczecina, przebudowę torowiska na Ku Słońcu oraz planowaną przebudowę skrzyżowań z liniami kolejowymi na bezkolizyjne.

Według magistratu największe zatory powodują samochody wjeżdżające do Szczecina od Mierzyna oraz od ronda Uniwersyteckiego w kierunku ronda Gierosa. Kierowcy próbują omijać zatłoczone Ku Słońcu i Europejską przez osiedlowe ulice: Okulickiego, Hrubieszowską, Kwiatową, Wrocławską i Świętej Kingi. W ten sposób korki przenoszą się w głąb Gumieniec.

EDUKCJA

386 nauczycieli wyróżnionych z okazji Dnia Edukcji Narodowej

Marek Jaszczyński

Wczorj w Szczecinie wręczono odznaczenia nauczycielom i dyrektorom szkół z województwa zachodniopomorskiego. Podczas obchodów Dnia Edukacji Narodowej wyróżniono 386 osób.

Wojewódzkie uroczystości z okazji Dnia Edukacji Narodowej odbyły się w auli Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego przy ul. 26 Kwietnia w Szczecinie. Spotkanie zgromadziło przedstawicieli oświaty z różnych części regionu. Była to okazja do uhonorowania osób, które od lat pracują z dziećmi i młodzieżą oraz angażują się w rozwój edukacji.

Uroczystość stała się okazją do wręczenia odznaczeń państwowych i resortowych, a także wyróżnień od Ministra Edukacji oraz Zachodniopomorskiego Kuratora Oświaty. Wśród nich znalazły się Złote, Srebrne i Brązowe Medale za Długoletnią Służbę. Przyznano również Srebrny Krzyż Zasługi Mirosławowi Kazimierzowi Żylikowi oraz Brązowy Krzyż Zasługi Piotrowi Gajewskiemu. Wręczono także Medale Komisji Edukacji Narodowej, przyznawane za szczególne zasługi dla oświaty i wychowania.

Dla Marleny Jakubowskiej, odznaczonej Medalem Komisji Edukacji Narodowej, wyróżnienie wiąże się z wieloletnią pracą w oświacie i przedszkolu.

– Jest to podsumowanie całego okresu pracy, wieloletniej pracy w oświacie, w przedszkolu – powiedziała Marlena Jakubowska.

Jolanta Dubicka zwróciła uwagę na znaczenie doceniania wysiłku wkładanego w codzienne obowiązki.

– To jest wielka radość – podkreśliła.

Podczas rozmów z nauczycielkami pojawił się również temat trudności związanych z pracą w oświacie.

– Współpraca z rodzicami – mówi Marlena Jakubowska zapytana o najtrudniejszą część pracy nauczyciela.

Jolanta Dubicka wymieniła natomiast cechę, która przydaje się w codziennych kontaktach z uczniami.

– Potrzeba cierpliwości – zaznaczyła.

Praca nauczyciela wymaga nie tylko wiedzy i przygotowania, lecz także umiejętności reagowania na różne potrzeby dzieci. Każde rozwija się we własnym tempie, dlatego ważne są indywidualne podejście, uważność i cierpliwość. Istotna pozostaje współpraca z rodzicami, pomagająca wspierać uczniów w nauce i codziennych trudnościach.

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

Uznanie dla nauczycieli należy się nie tylko w dniu ich święta

REKLAMA 0711584188

USKOM

PORADNIK POGRZEBOWY

Dostępny jako dodatek do piątkowego wydania "Głosu - Dziennik Pomorza"

30 października 2026 r.

TWOJE WSPARCIE, GDY NAJBARDZIEJ GO POTRZEBUJESZ

Zawiera informacje, które pomogą Ci spokojnie i świadomie przejść przez trudny czas pożegnania bliskiej osoby.

PARTNER WYDANIA KLEPSYDRA GRUPA KLEPSYDRA

eprasa.pl a96f14b85b

POLICE/NA ŁARPI POJAWIŁ SIĘ CIĘŻKI SPRZĘT. WODY POLSKIE TŁUMACZĄ, PO CO TE PRACE

Łarpia zarasta. W ruch poszła kosząca amfibia

Marek Jaszczyński

Na Łarpi w Policach trwają prace związane z usuwaniem nadmiernej roślinności. Wody Polskie zapewniają, że nie chodzi o pogłębianie czy regulowanie całej rzeki. Roboty prowadzone są punktowo, w 26 wyznaczonych miejscach. Mają poprawić wymianę wody i ograniczyć ryzyko niedoboru tlenu.

Prace dotyczą 4036 metrów kwadratowych powierzchni rzeki. Prowadzone są na podstawie porozumienia zawartego pomiędzy Wodami Polskimi, Zarządem Zlewni w Szczecinie a gminą Police. Główna część robót ma zakończyć się do końca października. Polegają one przede wszystkim na mechanicznym usuwaniu nadmiernej roślinności. Wykorzystywana jest do tego m.in. pływająca amfibia.

- Nie chodzi o przekształcanie całej rzeki czy jej pogłębianie na dużą skalę. Prace prowadzone są punktowo, wyłącznie w miejscach, w których nadmierna roślinność i lokalne zatory ograniczają przepływ oraz wymianę wody - wyjaśnia Marek Synowiecki, rzecznik prasowy Państwowego Gospodarstwa Wodnego Wody Polskie w Szczecinie.

Łarpia nie jest typową rzeką

Specyfika Łarpi wynika z jej położenia. To odnoga Odry, której funkcjonowanie jest związane także z wodami Zalewu Szczecińskiego. Wymiana wody odbywa się przede wszystkim pod wpływem zmian jej poziomu oraz wiatru, zwłaszcza z kierunków północnych i południowych. Problem w tym, że w ostatnich latach w wielu miejscach zaczęły pojawiać się zwarte skupiska roślinności wodnej oraz pływające wyspy roślinne. Miejscami powierzchnia otwartego lustra wody znacznie się zmniejszyła. Według Wód Polskich utrudnia to wymianę wód Łarpi z głównym systemem Odry.

- Celem tych działań nie jest przyspieszenie odpływu wody, ale przywrócenie możliwości jej naturalnej wymiany. Ma to szczególne znaczenie podczas wysokich temperatur i przy słabym przewietrzaniu akwenu – tłumaczy Marek Synowiecki.

Nadmiar roślinności też może być problemem

Jak wskazują Wody Polskie, pozostawienie rzeki całkowicie bez ingerencji nie w każdym przypadku jest korzystne dla środowiska. Nadmierne zarastanie Łarpi prowadzi do zwiększenia ilości rozkładającej się materii organicznej. To z kolei powoduje większe zużycie tlenu znajdującego się w wodzie i sprzyja występowaniu przyduchy. W skrajnych przypadkach może dochodzić do śnięcia ryb. Usunięcie lokalnych barier ma poprawić cyrkulację wody, ograniczyć jej stagnację i zmniejszyć ryzyko niedoborów tlenu.

-Chcemy stworzyć lepsze warunki dla organizmów wodnych i zahamować proces, w którym otwarty akwen stopniowo zamienia się w płytki, silnie zarośnięty obszar szuwarowy – podkreśla rzecznik.

Wody Polskie zwracają jednocześnie uwagę, że podejście do utrzymania rzek zmieniło się w ostatnich latach. Stosowane dawniej na dużą skalę bagrowanie koryt, wycinanie roślinności czy prostowanie cieków nie zawsze jest korzystne dla środowiska. Naturalna roślinność, meandry oraz tereny, na których okresowo może gromadzić się woda, mają znaczenie dla funkcjonowania rzek.

FOT. WODY POLSKIE

Usunięcie lokalnych barier roślinnych ma poprawić cyrkulację i ograniczyć stagnację wody

W przypadku Łarpi Wody Polskie przekonują jednak, że problem jest odwrotny i to właśnie nadmierne zarastanie wymaga punktowej ingerencji.

- Nowoczesna gospodarka wodna nie polega ani na bezrefleksyjnym regulowaniu rzek, ani na całkowitej rezygnacji z prac utrzymaniowych. Chodzi o znalezienie równowagi pomiędzy ochroną przyrody a zachowaniem prawidłowego funkcjonowania ekosystemu - zaznacza Marek Synowiecki. ©℗

PRAWO

Prokuratura nie zajmie się kubkiem z nazistą na festynie pod Gryfinem

Grzegorz Racinowski

O Chełmie Górnym zrobiło się głośno za sprawą festynu historycznego, podczas którego rozdawano kubki z wizerunkiem... generała Wehrmachtu. Sprawa została zgłoszona do prokuratury, która nie zdecydowała się jednak na wszczęcie dochodzenia.

FOT. RCHIWUM

Generał na kubku wystąpił w towarzystwie sponsorów imprezy

Festyn Historyczny „Żywa lekcja historii" odbył się 18 lipca w Chełmie Górnym.

- Wybierzemy się w fascynującą podróż w czasie, odkrywając na nowo lokalne dziedzictwo i tożsamość naszego regionu. Czy wiecie, jakie tajemnice kryją nasze ziemie? Kim był człowiek, który rzucił wyzwanie totalitaryzmowi i którego korzenie sięgają naszych sąsiednich stron? Tegoroczną edycję poświęcamy niezwykłej i odważnej postaci związanej z zamieszkującą sąsiedni Chełm Dolny rodziną von Tresckow. To właśnie on był jednym z głównych autorów słynnego planu „Walkiria" i kluczową postacią antyhitlerowskiego ruchu oporu. Poznajcie historię bezkompromisowej walki o wolność, która działa się tuż obok nas! – zapowiadali organizatorzy wydarzenia, Stowarzyszenie „Wspólnota Serc – Chełm Górny".

W swoistej laudacji nie wspomnieli jednak, że „bohater dnia", czyli Henning von Tresckow, był odpowiedzialny m.in. za Heuaktion. Akcja polegała na wywiezieniu do Niemiec około 40 000- 50 000 dzieci z okupowanej Polski. Wcześniej były one badane pod kątem posiadania pożądanych cech rasowych. Wówczas następowała selekcja: dzieci o wyglądzie aryjskim – z nowymi nazwiskami i metrykami - trafiały do niemieckich rodzin. Dzieci uznane za „niepełnowartościowe" rasowo zostały natomiast transportowane do obozów koncentracyjnych.

Kawka z nazistą

Sprawę nagłośniła „Gazeta Gryfińska", informując, że podczas festynu w gminie Trzcińsko-Zdrój nie tylko opowiadano o generale Wehrmachtu, ale również... rozdawano kubki z jego wizerunkiem. Obok umundurowanego von Tresckowa znajdowały się loga partnerów i sponsorów wydarzenia, w tym Powiatu Gryfińskiego, Urzędu Marszałkowskiego Województwa Zachodniopomorskiego oraz Marcina Łapecińskiego, członka zarządu województwa zachodniopomorskiego, który objął imprezę honorowym patronatem.

Po upublicznieniu sprawy wyżej wymienieni odcięli się od organizatorów, zapewniając przy tym, że mimo obecności na festynie, nie mieli pojęcia o „bohaterze dnia" ani o kubkach.

- Naprawdę nie wiedzieliśmy o tym fragmencie biografii generała. Nie było nic o tym w książce, z której czerpaliśmy wiedzę. Gdybyśmy wiedzieli, że jest współodpowiedzialny za ludobójstwo, to przecież nie robilibyśmy akcji upamiętniającej – broniła się prezes stowarzyszenia.

- Gdy zapytaliśmy, z jakiego opracowania korzystali, przygotowując materiały o życiu von Tresckowa, otrzymaliśmy zdjęcie okładki książki „Wartenberg. Chełm Dolny. Historia niemiecko-polska". Autorem publikacji, wydanej w 2014 r. w Sztokholmie (a następnie przetłumaczonej na język polski), był... Christoph von Tresckow, czyli bratanek „nazisty z kubka". Można w niej przeczytać sporo o „antysystemowych rozterkach" rodzinnych, zamachu na Hitlera oraz powojennych refleksjach związanych z przepędzeniem z małej ojczyzny. Zabrakło za to choćby wzmianki na temat Heuaktion i innych działań, które obciążają wojenny życiorys generała - informowała „Gazeta Gryfińska".

Brak znamion czynu zabronionego

Tłumaczenie organizatorów nie w każdym przypadku spotkało się ze zrozumieniem. Jedna z mieszkanek Barlinka postanowiła złożyć zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. Wskazała, że zaprezentowanie postaci i życiorysu niemieckiego generała nosiło znamiona publicznego propagowania nazizmu. Podobnie zresztą jak „rozpowszechnianie przedmiotów zawierających treść propagującą nazistowski ustrój państwa i będących nośnikami symboliki nazistowskiej".

Trzy miesiące później, za pośrednictwem swojego konta w mediach społecznościowych, poinformowała, że Prokuratura Rejonowa Szczecin-Niebuszewo odmówiła wszczęcia dochodzenia w sprawie.

- Prokurator nie podziela opinii eksperta i powodów do napiętnowania za propagowanie zbrodniarza ludobójcy nie widzi. Skandal to za mało na proces i wyłonienie winy i winnych. Choćby po to, żeby ich pouczyć co zrobili źle - napisała w komentarzu, który zamieściła za pośrednictwem Facebooka.

Kamień z serca!

Decyzję prokuratury z ulgą przyjęły natomiast członkinie Stowarzyszenia „Wspólnota Serc – Chełm Górny".

- Kamień z serca! To świetna wiadomość, bo ostatnie tygodnie były pełne niepewności. Cieszymy się, że prokuratura zrozumiała sytuację. Naszym celem nie było propagowanie nazizmu, tylko przedstawienie historii regionu. Do kolejnych inicjatyw będziemy podchodzić z większą dokładnością - powiedziały w rozmowie z Głosu przedstawicielki „Wspólnoty Serc". ©℗

eprasa.pl a96f14b85b

PRZYRODA

Szerszenie azjatyckie wykańczają nasze pszczoły!

Agnieszka Romanowicz

Pszczelarze zaalarmowali o pojawieniu się szerszenia azjatyckiego w Polsce. Odkrycie spod Krakowa budzi przerażenie w środowisku, bo gatunek ten sieje spustoszenie w pasiekach. Jest też groźny dla ludzi.

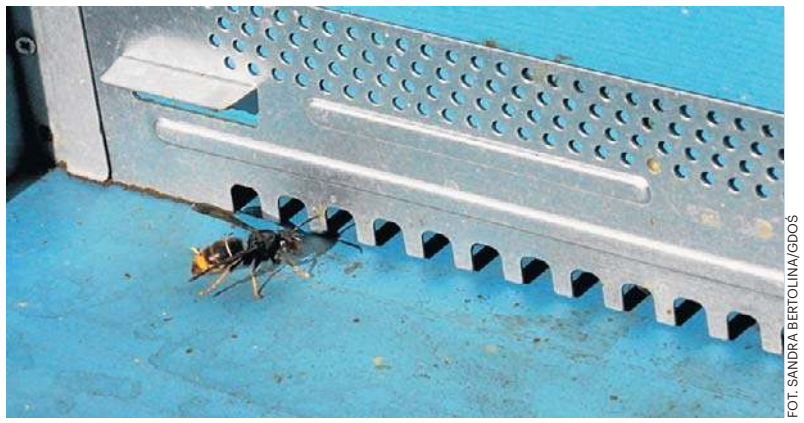
FOT. SANDRA BERTOLINA/GDOŚ
Szerszenie azjatyckie są ciemniejsze od europejskich

- Czujność krakowskich pszczelarzy pozwoliła rozpoznać podejrzane owady w pasiekach w okolicach Krakowa - informuje Wojewódzki Związek Pszczelarzy w Krakowie. - Dzięki przekazywanym informacjom, zaangażowaniu pszczelarzy oraz współpracy ze środowiskiem naukowym, w tym przedstawicielami Uniwersytetu Jagiellońskiego i Instytutu Ochrony Przyrody PAN, 14 października 2026 roku odnaleziono w Wielkiej Wsi pierwsze w Polsce gniazdo szerszenia żółtonogiego .

- Straszna wiadomość, tylko tego było nam trzeba - martwią się pszczelarze. - Teraz wszyscy musimy się skupić na wypatrywaniu kolejnych miejsc bytowania tego szkodnika. Każdy sygnał może mieć znaczenie.

Wysoce sprawny drapieżnik

Szerszeń azjatycki znajduje się na unijnej liście gatunków inwazyjnych. Jego naturalnym rejonem jest Azja Południowo-Wschodnia. Pierwsze informacje o jego obecności w Europie pojawiły się w 2005 r. we Francji, skąd szybko się rozprzestrzenił. Występowanie szerszenia azjatyckiego potwierdzono m. in. w Hiszpanii, Włoszech, Portugalii, Belgii, Irlandii, Czechach, Niemczech. Tam, gdzie się pojawi, sieje spustoszenie w pasiekach.

- Gdyż jest to wysoce sprawny drapieżnik pszczoły miodnej - wyjaśnia Generalna Dyrekcja Ochrony Środowiska. - Ocenia się, że w środowiskach zurbanizowanych pszczoły miodne mogą stanowić nawet dwie trzecie diety szerszenia azjatyckiego. Dlatego jego wpływ na populację pszczoły miodnej może być duży. Jako groźny drapieżnik nie tylko pszczół miodnych, ale też innych owadów zapylających, może negatywnie wpływać na możliwości zapylenia roślin, tym samym ograniczać efektywność upraw owadopylnych.

Jad zabija ludzi

Szerszeń azjatycki zagraża też ludziom. Portugalskie służby regularnie ostrzegają przed zbliżaniem się do gniazd szerszenia azjatyckiego. Przypominają, że każdego roku na terenie Portugalii wskutek użądlenia przez te inwazyjne owady notowane są co najmniej dwa zgony. Ostatni śmiertelny przypadek był na początku września: 69-letni rolnik został zaatakowany przez szerszenie w czasie zbiorów winogron.

- Znaczna część gniazd szerszenia azjatyckiego w Europie jest zakładana na terenach zurbanizowanych, tj. w bliskim otoczeniu człowieka, zaś gniazda budowane są wprost na gałęziach drzew, dlatego można się spodziewać częstszych interakcji z ludźmi niż w przypadku rodzimego szerszenia - wyjaśnia GDOŚ.

Gniazdo spod Krakowa też wisiało na gałęzi topoli, około 10-15 metrów nad ziemią. Jego średnicę oszacowano na około 70 cm.

Mógł przyjechać z drzewkiem oliwnym

GDOŚ apeluje o zgłaszanie kolejnych miejsc, w których pojawi się szerszeń azjatycki.

Jak go rozpoznać? Jest nieco mniejszy od rodzimego szerszenia europejskiego i ma znacznie ciemniejszy odwłok oraz żółte nogi.

Jak mógł trafić do Polski?

- Najbardziej prawdopodobne jest sprowadzenie zimujących samic (unasiennionych matek), które wiosną mogą założyć nowe rodziny - ocenia GDOŚ. - Z reguły zimują one w niewielkich przestrzeniach pod korą drzew albo w glebie. Łatwo wyobrazić sobie przewiezienie samic wraz z importowanymi materiałami budowlanymi, ogrodniczymi, surowcem drzewnym, korą albo roślinami doniczkowymi pochodzącymi z upraw w południowo-zachodniej Europie (np. z dużymi doniczkowymi okazami drzewek oliwnych albo palm, sprzedawanych w centrach ogrodniczych). Obrót tego rodzaju materiałami przebiega swobodnie w ramach Unii Europejskiej.

©℗

ARTYKUŁ SPONSOROWANY NFOŚIGW
0011579924

NFOŚiGW dla parków narodowych. Ponad miliard złotych wsparcia

Polskie parki narodowe chronią wyjątkowe krajobrazy, cenne siedliska i zagrożone gatunki. Aby skutecznie realizować te zadania, potrzebują nie tylko specjalistycznej wiedzy, lecz także stabilnego finansowania. Od 37 lat wspiera je Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Dziś to wsparcie płynie także z Funduszy Europejskich, dzięki dofinansowaniu Unii Europejskiej.

Łączna wartość dofinansowania parków z NFOŚiGW przekroczyła już 1 mld zł. Środki te pomagają zarówno w bezpośredniej ochronie przyrody, jak i w rozwoju infrastruktury, edukacji ekologicznej oraz odpowiedzialnej turystyki.

Przyroda pod szczególną ochroną

W Polsce działają 23 parki narodowe, zajmujące łącznie około 317 tys. hektarów, czyli nieco ponad 1% powierzchni kraju. Chronią różnorodne środowiska – od gór i lasów po mokradła, jeziora czy nadmorskie wydmy. Są ostoją dzikich zwierząt i roślin, a zarazem miejscem badań, edukacji i turystyki. Udostępnianie tych terenów odwiedzającym wymaga odpowiedzialnego podejścia. Ruch turystyczny odbywa się na wyznaczonych szlakach i ścieżkach, tak aby ograniczać presję na przyrodę. W polskich parkach przygotowano ponad 3600 km szlaków turystycznych i około 150 ścieżek dydaktycznych. Funkcjonują tam także muzea, wystawy i ośrodki edukacyjne.

Od ochrony gatunków po inwestycje

– Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej stale i konsekwentnie wspiera parki narodowe w ich codziennej działalności – od ochrony gatunków, poprzez edukację ekologiczną, aż po tworzenie nowoczesnej infrastruktury. Każde dofinansowanie to inwestycja w zachowanie narodowego dziedzictwa, ale i w przyszłość, która łączy troskę o środowisko z potrzebami polskiego społeczeństwa. Dzięki temu mieszkańcy, samorządy, nauczyciele, naukowcy i turyści zyskują miejsca sprzyjające pracy na rzecz przyrody i edukacji przyrodniczej – podkreśla Robert Gajda, Zastępca Prezesa NFOŚiGW.

Ważnym elementem wsparcia jest dofinansowywanie pierwokupu i wykupu gruntów oraz innych nieruchomości w granicach parków. Pozwala to zapobiegać antropopresji, czyli degradacyjnemu wpływowi działalności człowieka, np. przez zabudowę czy niszczenie, oraz fragmentacji siedlisk, a także pomaga w scalaniu ekosystemów i podnosi skuteczność działań ochronnych. Fundusz dofinansowuje również projekty dotyczące konkretnych gatunków zwierząt i roślin (żubr, żółw błotny, niedźwiedź brunatny i in.) czy renaturyzacji ekosystemów, naturalnej retencji wody i rozwoju zielonej infrastruktury.

Bezpieczeństwo i odpowiedzialna turystyka

Parki narodowe muszą chronić przyrodę, a jednocześnie dbać o bezpieczeństwo osób, które je odwiedzają. NFOŚiGW pomaga finansować specjalistyczne wyposażenie straży parkowych i systemy monitorowania zagrożeń. W zależności od potrzeb obejmuje ono między innymi sprzęt gaśniczy, pojazdy, pompy, zbiorniki na wodę, kamery i drony.

Nie zapominajmy też o infrastrukturze turystycznej. Szlaki, kładki, tablice edukacyjne, ławki i zaplecze sanitarne pomagają kierować ruchem odwiedzających i ograniczać jego niekorzystny wpływ na środowisko. W lipcu 2026 r. Zarząd NFOŚiGW podjął decyzję o zwiększeniu z 25 do 75 mln zł środków przeznaczonych na rozwój infrastruktury sanitarnej w parkach narodowych. Wsparcie pozwala również poprawiać efektywność energetyczną budynków administracyjnych i edukacyjnych oraz wymieniać tradycyjne pojazdy służbowe na zeroemisyjne.

Edukacja i badania naukowe

Parki narodowe są miejscami, w których można lepiej poznać przyrodę i zrozumieć potrzebę jej ochrony. Fundusz wspiera budowę i modernizację ośrodków edukacyjnych, muzeów, wystaw oraz ścieżek dydaktycznych. Dzięki temu parki mogą prowadzić zajęcia, organizować wydarzenia i udostępniać wiedzę różnym grupom odbiorców.

Dofinansowanie obejmuje również prace naukowo-badawcze i dokumentacyjne, ekspertyzy, przygotowywanie dokumentów planistycznych, cyfryzację zasobów oraz rozwój narzędzi geoinformacyjnych. Pieniądze na wsparcie parków pochodzą zarówno ze środków krajowych NFOŚiGW, jak i z Unii Europejskiej – z programów Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko oraz Fundusze Europejskie dla Polski Wschodniej. Wykorzystywane są także środki z programu LIFE oraz nowej perspektywy Funduszy Norweskich 2021–2028. Z samych tylko Funduszy Europejskich w perspektywie 2021–2027 na dofinansowanie bazy edukacyjnej w parkach narodowych NFOŚiGW przewidział 310 mln zł.

Dodatkowe korzyści dla zielonych gmin

Nową formą wsparcia jest program „Przestrzeń dla przyrody. Część 5) Zielone gminy – stawiając na bioróżnorodność", którego budżet wynosi 40 mln zł. Oferta skierowana jest do gmin i powiatów, na których terenie od 2024 r. utworzono nowe rezerwaty lub parki narodowe albo powiększono ich obszar. Dotacje mogą być przeznaczane między innymi na budowę i modernizację infrastruktury turystycznej, rozwój zielonej infrastruktury, ochronę pomników przyrody, promowanie lokalnych atrakcji przyrodniczych i edukację ekologiczną.

Długofalowe finansowanie pozwala parkom narodowym prowadzić działania, których nie dałoby się zrealizować wyłącznie z własnych budżetów. To inwestycja nie tylko w ochronę gatunków i siedlisk, lecz także w wiedzę, bezpieczeństwo i odpowiedzialne korzystanie z przyrody.

Parki Narodowe. Inwestujemy w naturę.

Więcej na:
parkinarodowe.gov.pl

Fundusze Europejskie | Rzeczpospolita Polska | Dofinansowane przez Unię Europejską | NARODOWY FUNDUSZ OCHRONY ŚRODOWISKA i GOSPODARKI WODNEJ

eprasa.pl a96f14b85b

MISTRZOWIE AGRO 2026

Zobaczcie kolejnych uczestników naszego wielkiego plebiscytu rolniczego

Polska wieś to świat różnych wyborów zawodowych, zainteresowań i doświadczeń. Jedne osoby prowadzą gospodarstwa rolne, inne angażują się w życie lokalnych społeczności, dbają o lasy lub rozwijają turystykę. Plebiscyt Mistrzowie Agro 2026 to świetna okazja, aby poznać bliżej wszystkich tych ludzi, którzy swoją pracą i zaangażowaniem tworzą taką polską wieś, jaka jest teraz.

Każda z grup związanych z rolnictwem i życiem na wsi ma swoją specyfikę, inne zadania oraz wyzwania. Inaczej wygląda przecież codzienność rolnika, inaczej sołtysa, leśniczego czy osoby prowadzącej gospodarstwo agroturystyczne. Wieś jest też domem ludzi, którzy potrafią jednoczyć mieszkańców wokół wspólnych inicjatyw, organizować wydarzenia czy pielęgnować lokalne tradycje, rozwijać koła gospodyń wiejskich. - I właśnie ta różnorodność jest jedną z ciekawszych stron naszego wielkiego plebiscytu Mistrzowie Agro 2026 - uważa Katarzyna Adamczyk, która opiekuje się akcją od strony redakcyjnej i doskonale zna historie jej uczestników.

Zwraca uwagę, że na bohaterów naszego plebiscytu można spojrzeć nie tylko z perspektywy wykonywanego przez nich zawodu czy pełnionej funkcji, ale również miejsc, w których żyją i działają, a także tego, czym zajmują się na co dzień. - W jednej akcji spotykają się osoby o bardzo różnych doświadczeniach, które łączy zaangażowanie w życie polskiej wsi - zauważa dziennikarka. Na naszych łamach oraz stronie internetowej regularnie przedstawiamy uczestników tegorocznej edycji. - Były już rozmowy o ich zawodowych wyborach, codziennej pracy i zainteresowaniach. Były prezentacje kół gospodyń wiejskich. Dziś oddajemy pierwszeństwo zdjęciom - wyjaśnia redakcyjna opiekunka akcji

Warto przyjrzeć się tym fotografiom. Być może wśród prezentowanych osób są ludzie, których znacie ze swojej miejscowości, spotykacie podczas lokalnych wydarzeń albo o których działalności słyszeliście od znajomych? A może zobaczycie kogoś po raz pierwszy, a warto go bliżej poznać? Jak podkreśla dziennikarka: - Jedno jest pewne, plebiscyt Mistrzowie Agro 2026 skupia bardzo różnorodne grono uczestników, a my przedstawiamy dziś kolejną jego część.

Pokazujemy dziś osoby biorące udział w plebiscycie, reprezentujące różne kategorie, przypominając, że głosowanie trwa - i wciąż można wspierać swoich faworytów głosami.

Warto wiedzieć, że zwycięzcy największego plebiscytu rolniczego w Polsce odbiorą prestiżowe nagrody podczas uroczystej gali, której wyjątkową oprawę zapewni jedno z najważniejszych wydarzeń branży rolniczej w Polsce. Ogólnopolska gala Mistrzów Agro odbędzie się podczas XXXII Międzynarodowych Targów Techniki Rolniczej AGROTECH w Kielcach. Trudno o lepsze miejsce na uhonorowanie ludzi związanych z polską wsią niż to jedno z najważniejszych wydarzeń branży rolniczej w kraju, przyciągające rzesze gości.

Więcej o akcji na:
gk24.pl/agro
oraz **gs24.pl/agro**

Koło Gospodyń Wiejskich Roku
KGW Przemocze, gmina Maszewo

Koło Gospodyń Wiejskich Roku
KGW Mętno, gmina Chojna

Koło Gospodyń Wiejskich Roku
KGW Noskowo, gmina Sławno

Leśniczy Roku **Wojciech Małysko, Nadleśnictwo Drawno, Leśnictwo Międzybór**

Lider Społeczności Roku
Tomasz Urbański, Wicie, sołtys

Lider Społeczności Roku
Jarosław Adam Maląg, Biała Góra

Lider Społeczności Roku
Adam Kalinowski, Dolice, radny

Rolnik Roku
Natalia Barszcz, Brudzewice

Sołtys Roku **Monika Piotrowska, Sołectwo Konikowo, gmina Świeszyno**

Sołtys Roku **Krystyna Pietrzyk, Sołectwo Piaseczno, gmina Banie**

Wypoczynek Blisko Natury Roku
Alpakowy Raj Sylwii, Strzaliny

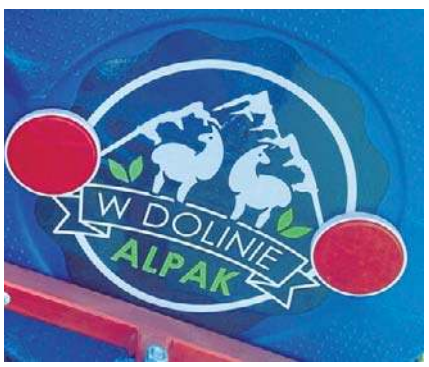

Wypoczynek Blisko Natury Roku
W Dolinie Alpak, Trzebiatów

Patroni honorowi:

Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi Stefan Krajewski

ARiMR Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa

Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa

Partnerzy plebiscytu:

Targi Kielce exhibition & congress centre

agrotech

Patronat regionalny:

Zachodniopomorski Ośrodek Doradztwa Rolniczego w Barzkowicach

eprasa.pl a96f14b85b

FOKUS

• **Na ponad 1500 stacjach kontroli pojazdów** sprawdzisz bezpłatnie ustawienie świateł. Terminy to 7 i 21.11 oraz 5.12

POLITYKA

Temat aborcji powraca, i to ze zdwojoną siłą: na ulice i do parlamentu

Protesty pod hasłem „Czerwona kartka za aborcję" odbyły się sześć lat od dnia wyroku TK, który zaostrzył przepisy aborcyjne i rozpoczął polityczny spór. Nad kwestią aborcji pochylił się też Sejm

Dorota Kowalska

„Jeżeli chcesz dać czerwoną kartkę naszym rządzącym za brak działania w sprawie aborcji, to przyjdź na demonstrację w swoim mieście w dniu 22 października 2026 roku! Weź transparent, czerwoną kartkę i przypomnij sobie swoje wkurzenie sprzed 6 lat!" – nawoływali organizatorzy protestu na Facebooku. W akcję zaangażowały się Fundacja Widzialne, Ogólnopolski Strajk Kobiet i Akcja Demokracja.

Kobiety wyszły na ulice w 28 miastach w Polsce – chciały w ten sposób przypomnieć o niezrealizowanych wyborczych obietnicach w sprawie aborcji. Oprócz pełnej dekryminalizacji żądają legalnej aborcji do 12. tygodnia i pełnego dostępu do tabletki „dzień po".

Być może z powodu tej niechlubnej rocznicy nad tematem aborcji pochylił się także parlament. We wtorek Sejm uchwalił nowelizację Kodeksu karnego, która przewiduje częściową dekryminalizację aborcji za zgodą kobiety oraz pomoc w aborcji w przypadku ciężkiej wady płodu. Projekt złożyli posłowie Lewicy i Koalicji Obywatelskiej w lipcu 2024 roku.

Za nowelizacją głosowało 217 posłów, przeciw było 213, trzy osoby wstrzymały się od głosu. Wcześniej posłowie nie poparli wniosku o odrzucenie projektu nowelizacji Kodeksu karnego. Regulacja zakłada między innymi uchylenie artykułu 152 paragraf 1, zgodnie z którym przerwanie za zgodą kobiety jej ciąży z naruszeniem przepisów ustawy o planowaniu rodziny zagrożone jest karą pozbawienia wolności do lat 3. Zakłada również uchylenie artykułu 152 paragraf 2, zgodnie z którym tej samej karze podlega osoba, która udziela kobiecie ciężarnej pomocy w przerwaniu ciąży z naruszeniem przepisów wymienionej ustawy (pomocnictwo) lub ją do tego nakłania.

Regulacja przewiduje dodanie w artykule 152 paragrafu 4, a ten mówi, że nie popełnia przestępstwa lekarz, pielęgniarka lub położna, jeżeli przerwanie ciąży jest następstwem zastosowania procedury medycznej potrzebnej do uchylenia niebezpieczeństwa grożącego zdrowiu lub życiu kobiety ciężarnej lub gdy badania prenatalne lub inne przesłanki medyczne wskazują na duże prawdopodobieństwo ciężkich i nieodwracalnych wad płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu.

Sejm uchwalił także ustawę dopuszczającą aborcję w przypadku ciężkiej wady płodu. Trybunał Konstytucyjny sześć lat temu uznał tę przesłankę za niekonstytucyjną. To projekt ustawy Trzeciej Drogi z lutego 2024 roku.

Jak można się było spodziewać, wtorkowa decyzja Sejmu wywołała falę komentarzy w social mediach.

„Czarny wtorek w Sejmie. Sejm uchwalił ustawę wyjmującą spod prawa działalność Abotaku. (...) Dzień, w którym większość posłów się zhańbiła. Odpowiadać będą przede wszystkim przed Bogiem i historią, a za rok przed wyborcami. Choć pokazali, że nic ich to nie obchodzi" – napisał mec. Łukasz Bernaciński z Ordo Iuris.

Radości nie kryli politycy koalicji rządzącej. „Sejm zagłosował za dekryminalizacją pomocnictwa w aborcji. Obiecaliśmy, że kwestii praw kobiet nie odpuścimy. Słowa dotrzymujemy. To test dla Nawrockiego, jak daleko jest w stanie posunąć się w swojej despotycznej obsesji. Podpis w tej sprawie może uratować komuś życie" – zauważył europoseł Lewicy Robert Biedroń.

Minister edukacji Barbara Nowacka stwierdziła, że po latach walki, protestów i przekonywania do zmian Sejm nareszcie zrobił krok w dobrą stronę.

Z kolei wiceprezes PSL Urszula Pasławska mówiła w „Gościu Wydarzeń", że za wyrok TK „przepraszało wielu posłów PiS-u, ale we wtorek połknęli własne języki, ponieważ zagłosowali przeciw kompromisowi aborcyjnemu, który funkcjonował przez 30 lat".

Co do osiągnięcia porozumienia w tej sprawie z prezydentem Karolem Nawrockim Pasławska zaznaczyła, że rząd jest otwarty na dialog, choć odnosi wrażenie, że Pałac Prezydencki w swoich działaniach kieruje się przede wszystkim polityką, a nie interesem społecznym.

Jeszcze we wtorek decyzję Sejmu w Polsat News komentował szef kancelarii prezydenta Zbigniew Bogucki. Jak podkreślił, na razie nie wiadomo, w jakim ostatecznie kształcie przepisy trafią do prezydenta, bo mogą jeszcze zostać zmienione, m.in. przez poprawki w Senacie. Zapewnił, że gdy dokumenty dotrą do Karola Nawrockiego, głowa państwa oceni je „rzeczowo i merytorycznie".

Dzień później na antenie Radia Zet rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz zapowiedział, że możliwe jest spotkanie Karola Nawrockiego z politykami w sprawie aborcji. Leśkiewicz nie wykluczył, że Nawrocki zaprosi do siebie liderów partii politycznych w tej sprawie.

Zgodnie z obecnymi przepisami usunięcie ciąży jest w Polsce możliwe w dwóch przypadkach: kiedy stanowi ona zagrożenie dla życia lub zdrowia kobiety lub gdy jest następstwem czynu zabronionego (do 12. tygodnia ciąży). Obok Malty, Polska ma dzisiaj jedno z najbardziej restrykcyjnych praw antyaborcyjnych w Unii Europejskiej.

ZAKOPANE

Biskupi spotkali się na Konferencji Episkopatu Polski

oprac. Jan Nowaczyk

Wczoraj w Zakopanem rozpoczęło się 406. zebranie plenarne Konferencji Episkopatu Polski.

Jak poinformował rzecznik Konferencji Episkopatu Polski, ks. Leszek Gęsiak, znaczna część spotkania będzie poświęcona problemom rodziny i małżeństw.

Kolejnym punktem ma być dalszy etap prac nad komisją niezależnych ekspertów do zbadania zjawiska wykorzystywania seksualnego osób małoletnich w Kościele katolickim w Polsce.

Biskupi wrócą również do kwestii mediów związanych z KEP, w tym Katolickiej Agencji Informacyjnej, portalu Opoka i funkcjonowania biura prasowego.

W programie znalazły się ponadto kwestie lekcji religii w szkołach oraz przygotowywanej nowej formy katechezy przyparafialnej. Biskupi mają również ocenić przebieg procesu synodalnego prowadzonego w polskich diecezjach. **PAP**

WARSZAWA

Prezydent ma czas na decyzję ws. min. Domańskiego

oprac. Jan Nowaczyk

Wniosek premiera Donalda Tuska dot. nominacji szefa MF Andrzeja Domańskiego na wicepremiera wpłynął do KPRP. Teraz ruch prezydenta.

Rafał Leśkiewicz, rzecznik prezydenta, był pytany wczoraj rano w TVN24, czy wniosek premiera o powierzenie Domańskiemu stanowiska wicepremiera może skończyć się inaczej niż odebraniem od ministra finansów przysięgi przez prezydenta. – Na razie ten wniosek wpłynął do Kancelarii Prezydenta. Premiera i ministra finansów, „świętej krowy" rządu Donalda Tuska, nie ma, są panowie w tej chwili w Indiach, więc spokojnie, poczekajmy – stwierdził Leśkiewicz.

Dopytywany, co Karol Nawrocki zrobi z tym wnioskiem, powiedział, że „pan prezydent nie ulega żadnej presji, mamy chwilę czasu". – Będzie decyzja pana prezydenta – poinformujemy – podkreślił rzecznik prezydenta. **PAP**

KRÓTKO

Gorzów Wielkopolski

Można wynająć mieszkanie za remont

W Gorzowie Wlkp., w najnowszej ofercie miejskiego programu „Remont za mieszkanie" znalazło się 13 dużych mieszkań o pow. przekraczającej 80 mkw. Z wcześniej oferowanych 25 dużych mieszkań, 21 znalazło najemców – poinformował rzecznik UM Gorzowa Wlkp. Wiesław Ciepiela. Jak wskazał, to propozycja dla osób, które są gotowe podjąć się remontu lokalu w zamian za możliwość jego wynajęcia na zasadach przewidzianych w miejskim programie. PAP

Podkarpackie

To był tylko nieuzbrojony płatowiec ze styropianu

Odnaleziony w środę w Lubaczowie obiekt latający to niewielki, nieuzbrojony płatowiec wykonany ze styropianu – poinformowała wczoraj rano Żandarmeria Wojskowa. Służby wykluczyły zagrożenie radiologiczne, biologiczne, chemiczne oraz obecność materiałów wybuchowych. Obiekt odnaleziono na jednej z niezamieszkanych posesji w Lubaczowie, nikt nie został poszkodowany. Decyzją prokuratora obiekt zabezpieczono do dalszych badań laboratoryjnych. PAP

Wielkopolskie

Zlikwidowano nielegalną fabrykę papierosów

Funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego Policji i Komendy Powiatowej Policji w Szamotułach zlikwidowali nielegalną fabrykę papierosów działającą w powiecie wołowskim. Zabezpieczyli ponad 14 mln sztuk papierosów i zatrzymali 20 osób, które trafiły do aresztu. Na gorącym uczynku zatrzymano 14 obywateli Paragwaju i 4 obywateli Polski. PAP

FOT. INTERNET

Nieprawdą są ostatnie doniesienia ukraińskich mediów dotyczące rzekomego wstrzymania polskiej pomocy wojskowej dla Ukrainy

JANUSZ SEJMEJ
rzecznik MON

eprasa.pl a96f14b85b

USA

Trump ograniczył walkę z dezinformacją mimo zagranicznych operacji

oprac. Alina Mazurska

Mimo że Rosja, Chiny i Iran prowadzą operacje wpływu w USA, administracja Donalda Trumpa ograniczyła działania mające na celu zwalczanie dezinformacji.

James Lindsay z think tanku Council on Foreign Relations (CFR) spodziewa się „prawdziwego zalewu" fałszywych i wprowadzających w błąd informacji w amerykańskiej przestrzeni publicznej przed zaplanowanymi na 3 listopada wyborami do Kongresu USA. – Obie partie polityczne i ich zwolennicy robią wszystko, co mogą, aby przechylić szalę na swoją korzyść – podkreślił w rozmowie z PAP. Ocenił też, że środowisko informacyjne w Stanach Zjednoczonych, podobnie jak w innych demokracjach, jeszcze nigdy nie było bardziej zanieczyszczone dezinformacją i treściami wprowadzającymi w błąd w sposób niezamierzony (misinformacją).

– Za oba te zjawiska odpowiadają zarówno sami Amerykanie, jak i podmioty zewnętrzne – zaznaczył ekspert. Podkreślił, że w przypadku USA „wyraźnie widać", iż od kilku cykli wyborczych nieprawdziwe informacje próbują rozpowszechniać Rosja, Chiny i Iran.

Rosyjskie działania w tej dziedzinie polegają przede wszystkim na wykorzystywaniu podziałów istniejących w Stanach Zjednoczonych. – Chodzi o to, by wszystkich nastawić przeciwko sobie i wzbudzić powszechne niezadowolenie. Wybierają określoną grupę – na przykład ze względu na kolor skóry, wyznanie lub miejsce zamieszkania – a następnie publikują materiały, które wykorzystują istniejące podziały i pogłębiają je – tłumaczył Lindsay. Celem Rosji jest więc, zasadniczo, „wrzucenie piachu w tryby demokracji przez skłanianie Amerykanów do wzajemnej wrogości".

Natomiast chińskie operacje są w dużej mierze ukierunkowane przeciwko kandydatom szczególnie krytycznym wobec Pekinu.

PAP

FOT. PAP/EPA

Administracja Donalda Trumpa ograniczyła działania mające na celu zwalczanie dezinformacji

WIZYTA

Premierzy Polski i Indii rozmawiali o współpracy

oprac. Karolina Wrońska

Donald Tusk podkreślił podczas wspólnego briefingu po wczorajszym spotkaniu w New Delhi, że rozmowa z indyjskim premierem dotyczyła tego, jak umacniać partnerstwo strategiczne zawarte podczas wizyty Narendry Modiego w Warszawie w sierpniu 2024 r.

– Nam się dobrze rozmawia, nie tylko dlatego, że Polska i Indie to są kraje, które łączy bardzo dużo, a nic nie dzieli – powiedział Tusk. Zaznaczył, że Polska i Indie nie mają konfliktu interesów ani złych zaszłości historycznych, a przyjaźń budują w oparciu o zaufanie i wspólne idee, takie jak idea non-violence.

Szef polskiego rządu wskazał, że ostatnie 35 lat to bezprecedensowy rozwój obu państw i zapowiedział, że Polska i Indie będą wspólnie rozmawiać w formacie G20 oraz wspierać się na forach międzynarodowych.

Nawiązując do rozmów delegacji, Tusk mówił o ambitnych planach „nie tylko w tradycyjnych przemysłach, takich jak górnictwo, gazyfikacja węgla czy przemysł okrętowy". – Mamy także bardzo ambitne cele, jeśli chodzi o sektor kosmiczny, cyfryzację, satelity, nowoczesny przemysł zbrojeniowy – wymienił.

Podkreślił, że Polska i Indie bardzo dokładnie zdają sobie sprawę z „zagrożeń geopolitycznych i z konieczności uniezależnienia się, w możliwym stopniu, jeśli chodzi o surowce i technologie strategiczne, surowce, minerały krytyczne". Zaznaczył, że Polacy mają w żywej pamięci udzielenie schronienia polskim uchodźcom, w tym dzieciom, w czasie drugiej wojny światowej przez Jama Saheba Digvijaysinhji'ego, władcę Nawanagaru – znanego w Polsce jako Dobry Maharadża.

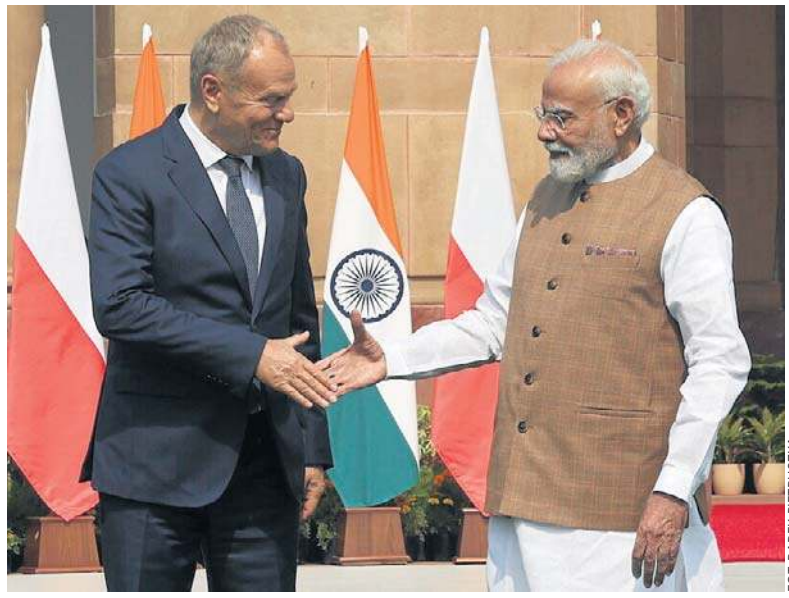

FOT. RADEK PIETRUSZKA

Donald Tusk i premier Indii Narendra Modi podczas konferencji prasowej po spotkaniu w Hyderabad House w New Delhi

Tusk podziękował premierowi Indii za słowa, że Polska może być dla Indii bramą do współpracy z całą Europą.

Premier Modi podkreślił z kolei, że dzięki podniesieniu relacji Indii z Polską do rangi partnerstwa strategicznego współpraca ta przez ostatnie dwa lata nabrała prędkości.

W kontekście współpracy gospodarczej premier Indii zaznaczył, że polski PKB przekroczył w ubiegłym roku historyczny próg, a gospodarka jego kraju wzrosła w ostatnim kwartale o 7,8 proc.

Modi ocenił, że siła gospodarcza obu krajów otwiera szerokie możliwości współpracy, które dodatkowo poszerzy umowa o wolnym handlu. Podkreślił, że jest zadowolony z tego powodu, że premier Tusk przyjechał do Indii wraz z dużą delegacją biznesową.

– Mam nadzieję, że nasze zespoły będą razem pracować tak, aby stworzyć zaufane łańcuchy dostaw. Zdajemy sobie sprawę, że nasze wspólne cele podwojenia wzajemnego handlu dwustronnego na pewno osiągną sukces – powiedział premier Modi. Dodał, że Polska i Indie będą tworzyć kolejne partnerstwa, m.in. w obszarze krytycznych minerałów, surowców oraz gazyfikacji węgla, a także współpracować w zakresie cyberbezpieczeństwa.

Premier Indii zaznaczył, że „przyjaźń polsko-indyjska nie jest oparta tylko na relacjach dyplomatycznych, ale także na naszym wspólnym podejściu do człowieczeństwa, serdeczności i współczucia wobec innych".

Dzisiaj premier Tusk spotka się z maharadżą Yuvrajem Sambhajim Rajem Chhatrapatim, premierem stanu Karnataka Doddalahallim Kempegowdą Shivakumarem, oraz gubernator stanu Sudhą Yadav. **PAP**

UKRAINA/ROSJA

Po rozmowach ws. zakończenia wojny Rosja znowu uderzyła

oprac. Alina Mazurska

Niemal natychmiast po kolejnych rozmowach w sprawie zakończenia wojny Rosja przeprowadziła trzy fale ataków balistycznych na Kijów.

„Od wieczora (w środę) rosyjscy »humanitaryści« przeprowadzili trzy fale ataków balistycznych na Kijów. Wystrzelono 21 rakiet. Niestety, w mieście odnotowano znaczną liczbę trafień i zniszczenia. (...) W Kijowie i okolicach ranne zostały 34 osoby, w tym pięcioro dzieci. Na razie wiadomo o dwóch ofiarach śmiertelnych. (...) W rzeczywistości niemal natychmiast po kolejnych rozmowach Rosja przeprowadziła demonstracyjny atak" – napisał Wołodymyr Zełenski w komunikatorze Telegram. W ocenie prezydenta Ukrainy oznacza to, że nie zaszła żadna zmiana w „podejściu Rosji do wszystkiego, co się dzieje". „Ważne jest, aby nie ustawać w poszukiwaniu właściwych rozwiązań, które pozwolą zakończyć wojnę" – dodał Zełenski.

„Kiedy jednak rosyjskie rakiety balistyczne stanowią odpowiedź na negocjacje, konieczne jest wywieranie realnej presji na Rosję, aby podjęła inne kroki – kroki zmierzające do zaprzestania zabijania. Wzmocnienie obrony przeciwlotniczej (Ukrainy – PAP) i szybkie dostawy rakiet, zdolność do niszczenia wyrzutni rakiet balistycznych, sankcje za wojnę – to wszystko musi zaistnieć" – zaznaczył.

Zełenski podziękował wszystkim, którzy właśnie w taki sposób postrzegają sytuację. Podkreślił, że agresor zasługuje na odpowiednie potraktowanie, Ukraina na wsparcie, a życie ludzi na ochronę. **PAP**

IZRAEL/STREFA GAZY

Hamas przygotowuje się do kolejnego konfliktu

oprac. Jan Nowaczyk

Izrael przekazał USA dane wywiadowcze, z których wynika, że organizacja terrorystyczna Hamas nie zamierza się rozbroić i przygotowuje się do kolejnej wojny.

Wysocy rangą przedstawiciele izraelskiego wojska przekazali stronie amerykańskiej informacje wywiadowcze świadczące o tym, że Hamas rozbudowuje siły w Strefie Gazy, przygotowując się na wybuch kolejnego konfliktu na pełną skalę z Izraelem. Według danych przedstawionych w ostatnich dniach Waszyngtonowi oraz izraelskim władzom Hamas nie zamierza też współpracować z żadnym podmiotem międzynarodowym. W ocenie strony izraelskiej jedynym sposobem na rozbrojenie tej organizacji terrorystycznej jest użycie siły militarnej – poinformował portal Times of Israel. Armia jest zdania, że Hamas zdołał naprawić sieć tuneli i zgromadzić zapasy broni na tych obszarach Strefy Gazy, które wciąż pozostają pod jego kontrolą.

W ocenie wojska Hamas dysponuje obecnie około 30-40 tysiącami bojowników, co odpowiada liczebności jego sił sprzed ataku na Izrael z 7 października 2023 roku. Izraelskie służby bezpieczeństwa ustaliły, że Hamasowi udało się przywrócić kontrolę nad Strefą Gazy i obecnie sprawuje on tam władzę, nie napotykając żadnego sprzeciwu – podał dziennik „Haarec".

Prowadzone pod egidą USA wysiłki na rzecz zawarcia kompleksowego porozumienia utknęły w martwym punkcie. **PAP**

eprasa.pl a96f14b85b

KOSZALIN/SŁUPSK/SZCZECIN

tygodnik Regionów

Piątek, 23.10.2026

Historia

Największym dystrybutorem narkotyków w regioni był... Wiskord?

– Str. 10-11

Bezpieczeństwo

Polacy są przygotowani na sytuację kryzysową? Odpowiedz wam się nie spodoba

– Str. 16

FOT. MUZEUM W KOSZALINIE

Historia, której można spróbować, czyli koszalińskie pierniki

Dawni cukiernicy reklamowali „prawdziwe koszalińskie pierniczki", a przepis mieszkanki miasta trafił do książki kucharskiej sprzed ponad stu lat. Dziś odnaleziona receptura znów służy do wypieku - dzięki muzealnym poszukiwaniom i cukierniczej pasji Anny Naszydłowskiej.

– Str. 12 - 13

eprasa.pl a96f14b85b

KRONIKI POLICYJNE

Jak Wiskord stał się... największym dystrybutorem narkotyków w regionie

„Haszyszowe bryłki były dosłownie wszędzie i praktycznie każdy miał z nimi do czynienia. Sprawiły, że marihuana praktycznie wyszła z użytku. Pierwszą bryłkę dostałem zresztą od kolegi, który nie pochodził z zamożnej rodziny. Nie było go stać na piwo, a pewnego dnia, ot tak podarował mi około 20 g haszyszu. W innych częściach kraju kosztowałoby kilkaset złotych, a u nas było w zasadzie bezwartościowe". Wszystko to za sprawą Wiskordu, który latem 1996 roku nieświadomie zalał lokalny rynek... afrykańskim haszyszem.

Grzegorz Racinowski

- Kiedyś zatrzymał mnie samochód na nieznanych rejestracjach, na pewno spoza naszego regionu. Skoda z kilofami i łopatami na bagażniku. W środku było czterech kolesi, którzy spytali mnie, gdzie mają jechać - wspomina Jakub.

Nie musieli mówić jakiego miejsca dokładnie szukają. Wystarczył rzut okiem na sprzęt, by wskazał palcem w kierunku podgryfińskiego Daleszewa, gdzie do dziś mieści się stadion Odrzanki Radziszewo. Odmachnęli z wdzięcznością i ruszyli na wykopki.

- To był proceder, z którym policja nie mogła poradzić sobie przez wiele miesięcy - mówią mieszkańcy gminy Gryfino.

FOT. ARCHIWUM

30 lat temu Wiskord stał się... największym dystrybutorem narkotyków w regionie

Haszysz tylko się zwęglił

Zaczęło się od historycznego sukcesu. 24 maja 1995 r. Straż Graniczna przechwyciła kuter, który przypłynął do świnoujskiego portu z Angoli.

- Takiej sensacji nawet najstarsi mieszkańcy Świnoujścia nie pamiętają. Różne tu bywały usiłowania przemytu towarów. Kiedyś dżinsów, koszul, kawy, alkoholu, ale czegoś takiego i w takich ilościach? - pisaliśmy przed trzema dekadami na łamach „Głosu Szczecińskiego".

Odkryta kontrabanda zszokowała nie tylko dziennikarzy i czytelników, ale również funkcjonariuszy służb. Kuter „Gda-21" wpłynął do Polski z kilkoma tonami narkotyków. Pierwsze informacje, przekazane przez komendanta Pomorskiego Oddziału Straży Granicznej, mówiły o dziesięciu tonach haszyszu. W toku późniejszych procesów doprecyzowano, że ostatecznie pod pokładem znajdowało się nie dziesięć, lecz dziewięć ton. Ów „spadek" nie wpłynął jednak na końcową ocenę. Jak informowały bowiem służby, była to największa udaremniona próba przemytu narkotyków w historii naszego kraju.

Rok później rozpoczął się pierwszy z dwóch procesów, w których na ławie oskarżonych zasiadła załoga przemytniczego stateczku. W podobnym czasie Sąd Wojewódzki w Szczecinie podjął decyzję o spaleniu przechwyconego haszyszu. O tym, że trafił do pieców, znajdujących się na terenie Zakładów Chemicznych Wiskord w szczecińskich Żydowcach, mieszkańcy regionu przekonali się latem 1996 roku. W dodatku na własnej skórze.

„Wiskord sam go sprzedawał"

- W jaki sposób afrykański haszysz znalazł się w takich ilościach na terenie gminy Gryfino? Wiskord sam go nam sprzedał - tłumaczy Zenon Trzepacz.

Trzy dekady temu był gryfińskim radnym oraz prezesem Odrzanki Radziszewo. Latem 1996 roku jego klub organizował obchody 50-lecia.

- To był wspaniały czas, bo udało nam się stworzyć zespół, który w sezonie 1995/96 wywalczył historyczny awans do 4. ligi, a pół roku później wygraliśmy prestiżowy Turniej o Puchar Kuriera Szczecińskiego. Wraz z rozwojem sportowym szedł rozwój infrastrukturalny. W tamtym czasie wyremontowaliśmy budynek klubowy i szatnie. Postanowiliśmy zająć się też boiskami - wylicza Z. Trzepacz.

Na łamach „Echa Gryfina i okolic", czyli jedynej wówczas gazety na terenie gminy, opowiadał o problemach związanych z finansowaniem inwestycji.

- Już dotacja na remont głównego boiska była niewystarczająca, a my chcieliśmy stworzyć dodatkowy obiekt treningowy. Dziś modne są orliki. Wtedy było mniej komfortowo, bo zamiast sztucznej trawy wykorzystywano żużel. Właśnie takie boisko usypaliśmy w Daleszewie. Znajdowało się nad trawiastym, w miejscu dzikiego wysypiska. Wcześniej społecznym sumptem oczyściliśmy teren, a następnie zorganizowaliśmy zbiórkę pieniędzy i kupiliśmy żużel z Wiskordu... - tłumaczy Zenon Trzepacz.

Odrzanka miała pecha. Okazało się bowiem, że zakupiony przez nich materiał był... wymieszany z haszyszem, co wkrótce odkryli nie tylko fani używek.

Haszysz tylko się zwęglił

Jak do tego doszło? Przez błąd pracowników Straży Granicznej, którzy decyzją szczecińskiego sądu mieli przeprowadzić utylizację wspomnianych dziewięciu ton.

- W Polsce nie ma doświadczenia w paleniu tak wielkich ilości narkotyków, ani specjalnych przepisów, które by to określały. Przedstawiciel nadzoru farmaceutycznego chciał, aby temperatura spalania wynosiła nie mniej niż 1200 stopni Celsjusza, a urzędnik wydziału ochrony środowiska, aby komin miał minimum 80 metrów. Te warunki zostały spełnione. Narkotyk po paleniu oglądało kilka osób - utrzymywał płk Andrzej Wyganowski, ówczesny komendant Pomorskiego Oddziału Straży Granicznej, w rozmowie z „Gazetą Wyborczą"h. Jesienią 1996 r. służby odpychały odpowiedzialność bądź zasłaniały się niewiedzą. O tym, jakie błędy popełniono, mieszkańcy regionu przekonali się w praktyce.

- Haszysz palono na specjalnych rusztach z węglem. Było tego kilka lub kilkanaście ton, więc robiono to partiami. Po godzinnym paleniu w piecu zostawały tylko niedopalone bryły. Po ich rozłupaniu okazywało się, że w środku cały czas znajduje się haszysz. W dodatku w nienaruszonym stanie, jedynie lekko nadpalony. Zanim służby to odkryły, Wiskord zdążył już sprzedać olbrzymie ilości bryłek, wymieszanych z żużlem, lokalnym przedsiębiorcom. Ci wykorzystywali ten materiał m.in. do utwardzenia dróg, przez co haszysz znajdował się na wyciągnięcie ręki - w rozmowie z „Gazetą Gryfińską„ opowiadał jeden z pracowników Wiskordu.

Księżycowy krajobraz

Działacze Odrzanki nie od razu zorientowali się, jak cenny towar zakupili.

- Z początku nie wiedzieliśmy, o co chodzi [...c]. Niedawno z policją przyłapaliśmy tam dwóch kopaczy, ale skończyło się to tylko na zarekwirowaniu łopat. „Wykopki"h narkomanów naruszyły strukturę boiska i trzeba będzie je znowu wałować - mówił trzy dekady temu prezes klubu, w tekście, który ukazał się na łamach „Echa Gryfina i okolic"h, pod poetycko brzmiącym tytułem „Księżycowy krajobraz w Daleszewie"h.

Nie tylko boisko Odrzanki zaczęło przypominać powierzchnię

eprasa.pl a96f14b85b

księżyca. Nabywcami żużlo-haszyszu zostały również Odra Land z Daleszewa oraz Fabryka Sznurka z Wełtynia.

- Obie firmy wykorzystały „wiskordowski materiał"h do utwardzenia dróg dojazdowych. Właściciel Fabryki Sznurka ładnie wyrównał nawierzchnię i nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak szybko zrobiły się dziury. Dopiero po czasie poznał przyczynę. Większy szok przeżył zarządca Odry Land, bo na własne oczy zobaczył, że hałda się porusza. Gdy podszedł bliżej, dostrzegł jakąś grupę ludzi, którzy przesypywali żużel, wyraźnie czegoś szukając - opowiada Zenon Trzepacz.

Trzy wspomniane miejsca znajdują się w bliskim sąsiedztwie. Właśnie z tego względu podgryfińskie sołectwa musiały zmierzyć się z tabunami amatorów używek, którzy najeżdżali gminę dosłownie ze wszystkich stron. Gdy przeszukujący nie wykopali nic na boisku, to jechali w kolejne miejsce.

Daleszewo znajduje się zresztą w odległości pięciu kilometrów od szczecińskich Żydowców, gdzie również można było natknąć się na poszukujących. Głównie za kompleksem budynków Wiskordu, gdzie przeczesywali hałdy złożone z wszelkiej maści odpadów poprodukcyjnych. Tzw. „Wiskordówy"h.

Haszyszowe figurki i ozdoby

Niezutylizowany haszysz funkcjonował również pod inną nazwą.

- Mówiliśmy na to sztof, tak jak na Śląsku - tłumaczy Jakub.

W opisywanym okresie był nastolatkiem, któremu w głowie nie było imprezowanie. Całe dnie przyświecała mu myśl o piłce nożnej i treningach w gryfińskim Energetyku.

- Sęk w tym, że nie trzeba było używać haszyszu, by wiedzieć o tym, że znajduje się dosłownie na wyciągnięcie ręki. To, że jest rozrzucony po całym regionie, było powszechną wiedzą. Świadomość tego mieli nie tylko nastolatkowie, ale również mniejsze dzieci – opowiada nasz rozmówca.

W swoim tekście obrazowo przedstawiła to „Gazeta Gryfińska"h, zamieszczając wypowiedź mężczyzny, który w momencie „haszyszowego eldorado"h miał zaledwie trzynaście lat.

- Pojechałem wtedy z klasą na wycieczkę do Krakowa. Koledzy mieli pełne kieszenie haszyszu. Wymieniali się bryłkami, handlowali nimi – opowiada nam Kamil.

Jak zaznacza, sam nie zdecydował się wówczas na „skorzystanie z okazji"h.

- Już jednak sam fakt, że jako 13-latek wiedziałem, z czym mam do czynienia i trzymałem haszysz w dłoniach, najlepiej pokazuje skalę całej sytuacji – dopowiada.

Na forach internetowych znaleźć można dziś podobne wpisy. Mieszkańcy Szczecina - dzieląc się nietypowymi wspomnieniami - opisują dzieci, które... bawiły się haszyszem, niczym plasteliną. Lepiły figurki, tworzyły naszyjniki.

- Haszyszowe bryłki były dosłownie wszędzie i praktycznie każdy miał z nimi do czynienia. Sprawiły, że marihuana praktycznie wyszła z użytku. Pierwszą bryłkę dostałem zresztą od kolegi, który nie pochodził z zamożnej rodziny. Nie było go stać na piwo, a pewnego dnia, ot tak podarował mi około 20 g haszyszu. W innych częściach kraju kosztowałoby kilkaset złotych, a u nas było w zasadzie bezwartościowe - obrazowo opowiada nasz rozmówca.

Dziwili się tylko pracownicy kiosków Ruchu oraz ich klienci, którzy głośno utyskiwali na brak... szklanych lufek. Wykorzystywali je do palenia papierosów, nie wiedząc, że z podobnych względów zyskały one popularność u młodszych Gryfinian, choć nie tylko.

To wspomnienie jest bowiem wspólne dla dwóch miejsc. Podobny obrazek, tyle że dotyczący szczecińskich kiosków, jesienią 1996 r. odmalowała szczecińska prasa.

Posiadanie nie było przestępstwem

Historyjki o wykopkach – z perspektywy czasu – mają wymiar anegdotyczny. Przed trzydziestoma laty sprawa haszyszu wywoływała jednak kontrowersje, nie tylko ze względu na bezpośredni kontakt z młodzieżą.

- Jeden z mieszkańców wsi podszedł do kopiącej grupy i zaczął wyganiać ich z boiska. Wtedy mężczyzna wyciągnął pistolet i powiedział: „Jeśli ci życie miłe to spier...c"h. Dlatego odwrócił się na pięcie i uciekł - przytacza Zenon Trzepacz.

Wśród „wykopkowiczów"h nie brakowało przedstawicieli grup przestępczych.

- Kilka tygodni temu policjanci z grupy antynarkotykowej zastawili zasadzkę na poszukiwaczy haszyszu, którzy rozkopywali drogę w Wełtyniu pod Szczecinem. „Przyjechali trzema samochodami, sześciu stało na czatach, sześciu kopało. Nas było szesnastu, otoczyliśmy ich. Byli w takim amoku, że nawet nie zauważyli, jak ich zwinęliśmy. Ich ogarnęła prawdziwa gorączka haszyszu"h, przytacza jeden z policjantów, którzy brali udział w akcji. Wśród zatrzymanych jest wielu narkotykowych dealerów notowanych już przez szczecińską policję - informowała „Gazeta Wyborcza"h w październiku 1996 r. O sprawie, już w sierpniu 1996 r., pisała „Rzeczpospolita"h. Z tekstu wynika, iż dwanaście osób ujętych pod Gryfinem było podejrzanych o „zniszczenie drogi żużlowej w poszukiwaniu haszyszu"h, za co groziło im „do pięciu lat więzienia"h. Dlaczego mieli odpowiedzieć jedynie za zniszczenie mienia społecznego?

- W 1996 posiadanie nie było karalne. Zebrany towar można było w sumie legalnie posiadać - czytamy w odpowiedzi na jednym z internetowych forum.

W Polsce posiadanie narkotyków stało się bowiem przestępstwem dopiero 15 października 1997 roku, kiedy weszła w życie nowa ustawa o przeciwdziałaniu narkomanii.

Koniec „Wiskordówy"h

Wydaje się, że wówczas proceder nie istniał już w gryfińsko-szczecińskiej przestrzeni publicznej.

- Później wyszukiwaniem „niedobitków"h zajmowali się głównie bezdomni. Podchodzili do młodych ludzi i proponowali bryłkę w zamian za wódkę lub wino – opowiada jeden z Gryfinian.

Na przełomie XX i XXI wieku „Wiskordówa łamana na sztof"h funkcjonowała już wyłącznie we wspomnieniach. Kultywowanych zresztą do dziś, czego dowodem jest również nasz reportaż.

REKLAMA 0011599540

eprasa.pl a96f14b85b

HISTORIA REGIONU

Koszalin pachnie piernikiem. Historia, której można spróbować

Dawni cukiernicy reklamowali „prawdziwe koszalińskie pierniczki", a przepis mieszkanki miasta trafił do książki kucharskiej sprzed ponad stu lat. Dziś odnaleziona receptura znów służy do wypieku - dzięki muzealnym poszukiwaniom i cukierniczej pasji Anny Naszydłowskiej.

Joanna Chojecka
dyrektor Muzeum w Koszalinie

Kontynuujemy cykl publikacji, które raz w miesiącu będą się pojawiać na naszych łamach. Powstają one we współpracy z Muzeum w Koszalinie, bazując na wiedzy pracowników koszalińskiej placówki i zbiorach, które znajdują się pod opieką koszalińskich muzealników. Poruszane tematy dotyczą zarówno Koszalina, jak i regionu. Oto kolejny materiał z całej serii, które będzie można przeczytać na naszych łamach w najbliższych miesiącach. Zapraszamy do lektury! (red).

* * *

FOT. MUZEUM W KOSZALINIE

Jak smakuje historia? Fantastycznie!

Spacerując po Rynku Staromiejskim czy ulicy 1 Maja, trudno dziś wyobrazić sobie zapach pierników dobiegający z dawnych cukierni. A jednak Koszalin – ten przedwojenny, niemiecki Köslin - ma własną piernikową historię. Pozostały po niej nazwiska rzemieślników, reklamy, drewniane formy i przepis, który po latach doczekał się powrotu do kuchni.

Jeden z ważnych tropów prowadzi do Gorzowa. To tam Hermann Eduard Baehr zdobył mistrzowski tytuł u swojego teścia, Juliusza Knittla. Do Köslina przybył z żoną Luizą z Knittlów oraz kilkudziesięcioma formami piernikarskimi. Przywiózł narzędzia, doświadczenie i rodzinne tradycje rzemiosła, które znalazły tutaj nowych odbiorców.

Cukiernia Baehra prosperowała w latach 1840–1901 przy dawnej Hohetorstraße 41, dzisiejszej ulicy 1 Maja. Drewniane formy pozwalały nadawać piernikom ozdobne kształty. Wymagały precyzji zarówno od wykonującego je snycerza, jak i od cukiernika, który musiał umiejętnie odcisnąć wzór w cieście.

W 1908 roku córka i zięć koszalińskiego cukiernika Baehra sprzedali kolekcję form ówczesnemu Muzeum Miejskiemu w Toruniu. Pamiątki koszalińskiego piernikarstwa znalazły więc schronienie w mieście słynącym z tego rzemiosła. Do dziś zachowało się 37 form z Koszalina i Gorzowa - pozostają w zbiorach tamtejszego Muzeum Okręgowego. Cieszy, że także Muzeum w Koszalinie posiada formę sygnowaną przez Baehra - można ją zobaczyć na wystawie w Zagrodzie Jamneńskiej.

Na piernikowej mapie miasta ważne miejsce zajmuje również Franz Richnow. W 1860 roku założył cukiernię przy Markt 22, czyli dzisiejszym Rynku Staromiejskim. Reklamował sprzedaż wysyłkową „prawdziwych koszalińskich pierniczków". Już samo to określenie działa na wyobraźnię. Nazwa miasta miała zachęcać klientów do zakupu, a przesyłki pozwalały wypiekom docierać poza Koszalin. Warto o tym pamiętać, kiedy szukamy dziś lokalnych smaków i pomysłów na pamiątkę z miasta.

Nie wszystkie przepisy pochodziły jednak z cukierniczych warsztatów. Osobny trop prowadzi do Elisabeth Schellhorn z dawnego Koszalina. Jej receptura znalazła się w książce „Perlen der Kochkunst" Nelly von Heimburg, gromadzącej przepisy z różnych stron i miast ówczesnych Niemiec. Już w pierwszym wydaniu z 1908 roku można odnaleźć „sehr gute Pfeffernüsse", czyli „bardzo dobre pierniczki".

Przepis odnaleziony został podczas pracy nad wystawą „Gdzie są smaki i klimaty tamtych lat?", której wernisaż odbył się w maju 2024 roku. Na ekspozycji znalazły się zarówno piernikowa historia niemieckiego Koszalina, jak i sama receptura. Twórcom i odbiorcom wystawy dawna książka kucharska pozwoliła zajrzeć do codzienności mieszkańców miasta: ich domów, zwyczajów i smaków.

Od przepisu na wystawie do gotowego wypieku prowadziła jednak dalsza droga. Dopiero w 2026 r. Anna Naszydłowska z Pracowni cukierniczej „Pierniki i Torciki" podjęła to piernikowe wyzwanie.

Jak sama przyznaje, zadanie nie należało do łatwych. Choć miała dostęp do oryginalnego przepisu, to w książce zajmuje on niespełna 12 linijek. Już podana w nim lista składników, choć z podaniem gramatury nastręczyła pewnych kłopotów. Jak wynika bowiem z przepisu do zrobienia „bardzo dobrych pierniczków" potrzeba m.in. mąki, miodu, kardamonu, goździków, pieprzu jamajskiego, mielonych migdałów, skórki kandyzowanych owoców i gorzkiej pomarańczy. Pewnym zaskoczeniem był natomiast dodatek gęsiego tłuszczu i potaż (Pottasche), czyli spożywczy węglan potasu, dawniej stosowany jako spulchniacz do ciast, dziś tę rolę pełni soda oczyszczona. Najwięcej kłopotów sprawił brązowy syrop. Z czego go zrobić? Jaką konsystencję powinien mieć? Pani Ania przyznaje, że kilka pierwszych wyrobionych przez nią ciast nie nadawało się do dalszej obróbki. Wylądowały w koszu.

Kiedy uporała się z tym zadaniem, stanęło przed nią kolejne – w przepisie można znaleźć ogólne informacje, jak krok po kroku przygotować ciasto, zabrakło w nim natomiast tak ważnych wskazówek, jak choćby czas i temperatura pieczenia. I tutaj znowu metodą prób i błędów, z zachowaniem stałej metodologii prowadzenia doświadczenia udało się rozwiązać tę zagadkę. I tak w końcu mogliśmy spróbować koszalińskich pierniczków sprzed ponad stu lat. Ich smak został już doceniony przez kapitułę konkursu „Nasze Kulinarne Dziedzictwo – Smaki Regionów – Region Zachodniopomorski", w którym Koszalińskie Pierniki zdobyły pierwszą nagrodę.

Dzięki zaangażowaniu Anny Naszydłowskiej i współpracy z Muzeum historyczna receptura wróciła do praktyki cukierniczej. Opowieść, którą wcześniej można było przeczytać, dziś można dosłownie posmakować.

Podstawą współczesnych pierniczków jest właśnie przepis Elisabeth Schellhorn. Cukiernie Baehra i Richnowa dokumentują inne wątki miejscowej tradycji. Przedmiotem sporu współczesnych pasjonatów historii jest kształt pierniczków, wynikających z dosłownego przetłumaczenia „Pfeffernüsse",, jako „pieprzowy orzechów", jakoby od ich krągłego kształtu i tego, że można je było jeść garściami. Formy Baehra mają motywy roślinne i zwierzęce, serca i postacie w różnych strojach. Jakie były naprawdę? To już pozostawić musimy wyobraźni - zgodnie z zapisem w recepturze Elisabeth Schellhorn proponowała formować ciasto na kształt orzechów, albo wypiekać je w formie krajanki. Razem tworzą obraz miasta, w którym korzenne wypieki powstawały w warsztatach rzemieślniczych i domowych kuchniach, a potem trafiały na stoły, do sklepów i wysyłkowych paczek.

Ta historia sprawia, że znane miejsca można zobaczyć na nowo. Pod adresem przy ulicy 1 Maja, w nieistniejącej kamienicy kryje się opowieść o rodzinie cukiernika przybyłej z Gorzowa. Rynek przypomina o przedsiębiorcy, który zachęcał do zamawiania koszalińskich specjałów i je rozsyłał. Drewniana forma zachowuje ślad pracy dawnych rzemieślników, a książka kucharska - przepis mieszkanki miasta.

eprasa.pl a96f14b85b

FOT. MUZEUM W KOSZALINIE

Anna Naszydłowska i Joanna Chojecka podczas Kiermaszu na Młyńskiej. To tutaj zaczęła się współpraca

FOT. MUZEUM W KOSZALINIE

Muzeum posiada formę sygnowaną przez Baehra

W roku 760-lecia Koszalina takie odkrycia przybliżają przeszłość od najbardziej codziennej strony. Pozwalają poznać jakby bliżej ludzi, którzy tutaj pracowali, gotowali, smakowali, prowadzili interesy i częstowali innych. Dawne dziedzictwo staje się w ten sposób częścią współczesnego życia.

Wyjątkowe, współczesne koszalińskie pierniczki można tymczasem znaleźć w sklepikach Muzeum przy ulicy Młyńskiej oraz Zagrody Jamneńskiej. Można zabrać je na prezent, poczęstować bliskich i opowiedzieć, skąd pochodzą. W niewielkiej paczce mieści się całkiem długa historia.

* * *

W ostatniej publikacji koszalińskiego Muzeum „ZBOŻE. Od zbiorów do Eucharystii – opowieść o dożynkach" błędnie podaliśmy autora tekstu. Była nim Irena Nowogrodzka-Barańska, adiunkt w Dziale Etnografii Muzeum w Koszalinie. Za niedpoatrzenie przepraszamy autorkę.

AUTOREKLAMA
0211593232

Już 7 listopada pierwsza edycja „Biegu dla jaj"

Monika Latkowska

„Bieg dla jaj" to wydarzenie dla całych rodzin. 7 listopada przed Forum Koszalin spotkają się biegacze, miłośnicy nordic walking i najmłodsi uczestnicy. Sportowym emocjom towarzyszyć będzie ważny temat - profilaktyka zdrowia mężczyzn.

Na naszym wydarzeniu każdy znajdzie dystans dla siebie. Dodatkowo na starcie dopingować Was będą nasi ambasadorzy: mistrzyni olimpijska Małgorzata Hołub-Kowalik oraz medalista Mistrzostw Polski w triatlonie i duatlonie Wojciech Parcheta.

Bieg główny i nagrody dla najszybszych

Punktualnie w południe, wystartują uczestnicy biegu głównego. Trasa to około 5,4 km. Zaczynamy przed Forum Koszalin, potem ruszymy wokół Wodnej Doliny, żeby zakończyć bieg metą pod Forum Koszalin. Każdy, kto ukończy trasę, otrzyma medal. Choć nazwa wydarzenia nawiązuje do profilaktyki zdrowia mężczyzn, udział w sportowej części imprezy jest otwarty dla wszystkich.

Czekają nagrody dla najszybszych

Na trzy najszybsze kobiety i trzech najszybszych mężczyzn w biegu głównym czekają vouchery na dwudobowy pobyt z pełnym wyżywieniem ufundowanych przez Factory Resort w Kołobrzegu. Castorama Koszalin ufundowała vouchery na zakupy o wartości 250 zł każdy dla zwycięzców klasyfikacji OPEN kobiet i mężczyzn. Decathlon Koszalin ufundował vouchery dla TOP 3 kobiet i 3 mężczyzn o wartości kolejno 300 zł, 200 zł i 100 zł. Park Wodny Koszalin przygotował 12 toreb z upominkami dla TOP 3 kobiet i 3 mężczyzn. W każdej znajdzie się m.in. voucher na 3-godzinne wejście do strefy rekreacyjnej. Dodatkowo wszyscy uczestnicy biegu otrzymają 30% rabatu na bilety jednorazowe. Słodki upominek dla każdego zawodnika ufundowała Cukiernia Kaliszczak.

Pomaszeruj po medale

O godzinie 13:00 wystartują kijkarze i zmierzą się na dystansie 5,4 km. Na wszystkich uczestników, którzy dotrą do mety, czekają medale i nagrody od naszych partnerów.

Jak zapisać się na bieg?

Aby wziąć udział w naszym wydarzeniu, konieczna jest wcześniejsza rejestracja oraz uiszczenie opłaty startowej w wysokości 60 zł dla dorosłych uczestników. Zapisy na stronie www.gk24.pl/biegdlajaj potrwają do 5 listopada.

FOT. MATERIAŁY ORGANIZATORA

ORGANIZATOR
GK 24.pl
WSPÓŁORGANIZATOR
FORUM KOSZALIN

PATRONI HONOROWI
PATRONAT PREZYDENTA KOSZALINA
PATRONAT HONOROWY WICEMARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA ZACHODNIOPOMORSKIEGO JAKUBA KOWALIKA

MECENAS
GRUPA MOJSIUK

PARTNERZY
760 KOSZALIN Centrum Pomorza
Mec #ZielonyKoszalin
ZDROFIT
Pomorze Zachodnie
BB Bank
Politechnika Koszalińska

PARTNERZY WSPIERAJĄCY
3D STUDIO KOSZALIN
PARK WODNY KOSZALIN
1885 FACTORY RESORT
affidea
DECATHLON

eprasa.pl a96f14b85b

TURYSTYCZNA WIELKOPOLSKA

Dziewięć wysp i kształt nietoperza. To jezioro nie powstało dla turystów

Na pograniczu Wielkopolski oraz województwa lubuskiego, w okolicach Prądówki, kryje się miejsce, które warto odkryć między innymi z powodu jeziora kształtem przypominającego lecącego nietoperza. Znajdziemy tu również spokojne leśne drogi, ślady dawnej linii kolejowej, trasy idealne na spacer i nordic walking oraz przyrodę, która przez większość roku gra tu pierwsze skrzypce.

Natalia Szewczyk

Jezioro ukryte w lesie, niedaleko Trzciela, z poziomu ziemi nie zdradza niczego niezwykłego. Ot, spokojny zbiornik wodny otoczony zielenią. Dopiero spojrzenie z góry pokazuje, dlaczego to miejsce jest tak wyjątkowe. Tafla wody układa się w kształt przypominający lecącego nietoperza, ale to nie wszystko. Na jeziorze rozsianych jest aż dziewięć wysp, które dodają temu miejscu dodatkowego uroku. To nie jest dzieło natury.

O niezwykłym miejscu opowiedział nam Artur Wieczorek, który od lat interesuje się lokalną historią i mniej oczywistymi zakątkami regionu. – Z ziemi trudno dostrzec niezwykły kształt akwenu. Otoczone lasem wygląda raczej jak niepozorny, ukryty wśród zieleni staw – mówi.

Jak wyjaśnia pan Artur, zbiornik nie jest naturalnym jeziorem ani obiektem stworzonym po to, by przyciągać odwiedzających.

– Nie jest to przypadkowo powstałe jezioro ani typowa atrakcja turystyczna. Zbiornik został odtworzony w ramach działań kompensacyjnych związanych z budową autostrady A2 na odcinku Świecko–Nowy Tomyśl – mówi Artur Wieczorek.

Jak wspomina, GDDKiA wskazywała, że trasa przecina cztery obszary Natura 2000, w tym „Jeziora Pszczewskie i Dolinę Obry" oraz „Dolinę Leniwej Obry". Wprowadzono więc nie tylko przejścia dla zwierząt czy zbiorniki ekologiczne, ale również dodatkowe działania kompensacyjne. Odtworzono dawny, zdegradowany staw rybny i przystosowano go przede wszystkim do celów przyrodniczych.

– Powstały między innymi siedliska zastępcze dla żurawia i bąka. Oficjalne materiały dotyczące tego przedsięwzięcia wskazują na dziewięć trawiastych wysp, pięć głęboczków oraz rozległe płycizny, które z czasem zarastają roślinnością szuwarową – przekazuje.

Zdaniem naszego rozmówcy, tak efektownie wyglądający z góry zbiornik właściwie nie funkcjonuje jako atrakcja turystyczna. Nie prowadzi do niego rozbudowana infrastruktura, nie ma punktu widokowego, z którego można byłoby podziwiać „nietoperza" w całej okazałości.

– Zbiornik nie został stworzony po to, aby przyciągać ludzi. Jego głównym zadaniem jest stworzenie i zachowanie odpowiednich warunków dla przyrody – podkreśla Artur Wieczorek.

Im mniej człowieka, tym lepiej.

– W czasach, gdy niemal każde ciekawe miejsce chcemy udostępnić, oznakować i uczynić atrakcją turystyczną, tutaj postanowiono zrobić coś zupełnie odwrotnego – stworzyć przestrzeń, którą człowiek powinien pozostawić w spokoju – dodaje.

Niedaleko zbiornika przebiega ślad dawnej linii kolejowej nr 373, łączącej Międzychód ze Zbąszyniem.

Linię uruchomiono w 1908 roku. Ruch pasażerski zawieszono w 1987 roku. Dziś w terenie można odnaleźć przede wszystkim pozostałości torowiska, nasypy i dawne obiekty kolejowe.

– Kiedyś tędy przejeżdżały pociągi, dziś pozostałości torowiska są niemal pochłonięte przez las. W pobliżu dawnej kolei powstał natomiast zbiornik, którego istnienia większość przejeżdżających nawet nie podejrzewa – mówi Artur Wieczorek.

Na samą Prądówkę można spojrzeć nie tylko przez pryzmat ukrytego zbiornika i dawnej kolei. Jedna z mieszkanek okolicy, Małgorzata Haliniak, nauczycielka, podróżniczka, uprawiająca regularnie nordic walking, zwraca uwagę przede wszystkim na spokojny, leśny charakter okolicy i dobre warunki do marszu.

– Dla kogoś z kijkami kluczowe są dwie rzeczy: podłoże i ukształtowanie terenu. Tutaj mamy miękkie, piaszczysto-szutrowe drogi leśne, które świetnie amortyzują uderzenia i nie niszczą stawów tak jak asfalt. Teren wokół dawnej stacji jest w miarę płaski, ale nie nudny – bliskość doliny Obry sprawia, że rzeźba terenu delikatnie faluje, co pozwala utrzymać dobre, równe tempo – opowiada.

– Nie ma tu prawie ruchu samochodowego. Maszeruje się w totalnym spokoju, nie oglądając się na auta. Prądówka to po prostu dobra, spokojna miejscówka, gdzie pakujemy kijki do auta, wysiadamy pod lasem i mamy przed sobą kilometry prostych, wygodnych ścieżek bez tłumu turystów – podkreśla.

Okolica ma też swój sezonowy urok. Latem można trafić tu na jagody i maliny, a jesienią na jeżyny i grzyby.

– Cóż więcej można chcieć? – podsumowuje.

FOT. ARCH. PRYWATNE ARTURA WIECZORKA

Opływając okolice jeden z mieszkańców wypatrzył okazałą hubę

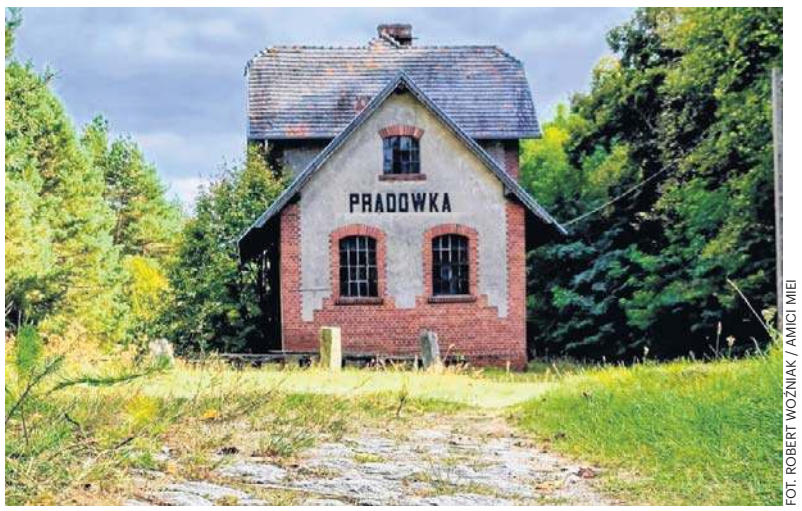

FOT. ROBERT WOŹNIAK / AMICI MIEI

Nieczynna już linia kolejowa pozostawiła po sobie wiele śladów

FOT. ARTUR WIECZOREK

Większość przejeżdża obok i nie ma pojęcia, co kryje las. Z góry widać zapierający dech w piersi widok: nietoperza

eprasa.pl a96f14b85b

KUCHNIA

Dolce vita po godzinach

Aleksandra Żebrowska-Zaprzałka, prawniczka z Białegostoku, wzięła udział w Mistrzostwach Świata w Tiramisu, które odbyły się dwa tygodnie temu w Treviso we Włoszech. Ten słynny włoski deser w jej wykonaniu najpierw był pistacjowo-malinową wariacją z kawałkami jadalnego złota, a później – inspirowany polską jesienią – miał smak pikantnej dyni

Magdalena Kleban

Kiedy ostatnie ciepłe promienie słońca oświetlały drzewa na białostockich Plantach, a jej pies uganiał się za opadającymi liśćmi, Aleksandra pomyślała: a gdyby tak spróbować oddać jesień we włoskim deserze tiramisu? I właśnie z inspiracji polską złotą jesienią powstało tiramisu w wersji kawy o smaku pikantnej dyni (coffee spice latte), które Aleksandra Żebrowska-Zaprzałka zaprezentowała na jednym z największych konkursów cukierniczych dla amatorów na świecie – na Mistrzostwach Świata Tiramisu w Treviso. W konkursie wzięły udział 320 osoby z całego świata, a Podlasiance udało się dotrzeć aż do półfinału. I chyba nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa w tej materii.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Aleksandra Żebrowska-Zaprzałka jest prawniczką, ale cukiernictwo to jej wielka pasja

Sześć podstawowych składników

Sześć składników to absolutne minimum, jeśli mówimy o słynnym włoskim tiramisu. Nie są to skomplikowane składniki, ani też trudne do zdobycia, ale Aleksandra przy każdym z nich zatrzymuje się na chwilę i dokładnie wyjaśnia. Kluczowa jest jakość, więc ser mascarpone, to najlepiej ten od włoskich krów, a jak kawa, to esencjonalna. Ale kawa dobrej jakości to jedno, a inna sprawa to jak ją zaparzymy. Musi być – jak podkreśla Aleksandra – zaparzana w kawiarce. Żaden ekspres, żadna kawa instant.

– Bo ważne, by kolejny składnik – ciasteczka, które po włosku nazywają się lingue di gatto (kocie języczki) albo ladyfingers – dobrze nią nasiąknęły – opowiada prawniczka. – Do tego dochodzą jajka i oczywiście kakao oraz odrobina cukru.

Przepisy cukiernicze bywają bezwzględne – szczypta za dużo, kropla za mało i wszystko można wyrzucić do kosza. A jednocześnie każdy dobry cukiernik musi mieć w sobie odrobinę szaleństwa i sporo kreatywności. Może dlatego Aleksandra Żebrowska-Zaprzałka tak bardzo pokochała to rzemiosło.

Pierwsze ciasto upiekła dopiero w dorosłym życiu

Jak wspomina – swoje pierwsze ciasto upiekła stosunkowo późno – już jako dorosła kobieta, która właśnie dostała się na studia prawnicze na Uniwersytecie w Białymstoku. Kiedy przyjechała z ukochanej Łomży do stolicy woj. podlaskiego, długo nie mogła się odnaleźć w obcym dla niej mieście. Pomagało jej... pieczenie. Wtedy zaczęła i właściwie już nigdy nie przestała. O nowych słodkościach myśli codziennie, głównie w czasie spacerów z ukochanym psem. Ale mimo to, swojej ścieżki zawodowej nie związała z cukiernictwem – pracuje jako prawniczka, zajmuje się przepisami unijnymi, normami ISO. Na co dzień więc pilnuje skomplikowanych zapisów prawa, a wieczorami i w wolnych chwilach wypróbowuje nowe przepisy.

Tych pozornych przeciwieństw w jej życiu jest zresztą więcej. Bo czy ktoś dałby wiarę, że ta zdolna młoda cukierniczka jest uczulona na laktozę i zazwyczaj nawet nie może spróbować własnych wytworów?

Tam, gdzie narodził się słynny deser

Mistrzostwa Świata w Tiramisu (Tiramisù World Cup) w Treviso to wyjątkowe wydarzenie. Jest to jedyny na świecie konkurs poświęcony wyłącznie temu deserowi.

Eliminacje do tegorocznych mistrzostw odbywały się w różnych krajach świata, m.in. w Kanadzie, Brazylii, ale też i Włoszech, gdzie wystartowała Aleksandra.

– W tej edycji wzięli udział uczestnicy reprezentujący 33 narodowości. Chyba taki najpiękniejszy dla mnie moment miał miejsce po eliminacjach, dzięki którym dostałam się do półfinału. Dostałam wówczas wiele pochwał od Włochów, którzy byli zachwyceni moją propozycją tiramisu – wspomina Aleksandra. – Deser, który przygotowałam na eliminacje, przypominał troszeczkę położonego na bok eklerka. Był z oryginalną włoską pastą pistacjową i z naszym rodzimym dżemem malinowym.

Uczestnicy konkursu sami mogli zdecydować, czy biorą udział w kategorii klasycznej czy też kreatywnej.

– Ja postanowiłam spróbować swoich sił w tej drugiej kategorii, dzięki czemu miałam dowolność doboru części składników – wyjaśnia prawniczka. – Całość uzupełniłam kawałkami jadalnego złota. Bo wiadomo, że jemy też oczami i deser musiał prezentować się atrakcyjnie.

Ta pistacjowo-malinowa wariacja tiramisu bardzo przypadła jurorom do gustu.

– Podczas eliminacji pokonałam Włochów w ich własnym deserze! – uśmiecha się Aleksandra.

Ty też możesz zostać jurorem

Mistrzostwa Świata w Tiramisu obchodziły w tym roku jubileusz – 10. rocznicę. Konkurs jest już słynny na cały świat. Zawsze odbywa się w centrum miasta, pod namiotem. Na widowni może zasiąść każdy. Co więcej, na etapie eliminacji każdy pasjonat tiramisu – i to wcale nie związany zawodowo z branżą cukierniczą – może zostać jurorem. Oczywiście pod pewnymi warunkami – musi najpierw przejść test online z historii i zasad przygotowywania tego deseru.

Sztuka łączenia

Po sukcesie w eliminacjach Aleksandra postanowiła kompletnie zaszaleć w kolejnym etapie. W czasie półfinałów zaprezentowała już zupełnie inny deser, zainspirowany naszą jesienią – ciepłą, piękną i złotą, taką z przełomu września i października.

– Dużo spacerowałam z psem i obserwowałam, że wszędzie w witrynach sklepowych pojawiają się dynie, że są przepiękne kolory, ale jednak już robi się chłodno i coraz częściej sięgamy po cieplejsze ubrania. I postanowiłam przygotować tiramisu inspirowane tym chłodem, a jednocześnie potrzebą ciepła – opowiada. – Przygotowałam krem w połączeniu z przyprawą korzenną. Do tego dodałam konfiturę z pomarańczy i rozmarynu.

Zawodnicy nie mogli w czasie rywalizacji – ze względów sanitarnych – używać produktów, które wykonali własnoręcznie w domu i przywieźli na zawody. Wszyscy musieli opierać się na składnikach, które są oryginalnie zapakowane przez producenta. Organizatorzy zapewnili bazowe produkty i miksery. Bo ideą tego konkursu jest to, żeby wszyscy mieli ten sam pułap startowy. By mogli pokazać własną technikę, swój warsztat, bazując na tych samych produktach.

Ale w kategorii kreatywnej liczyło się to „coś" ekstra, co każdy z cukierników-amatorów musiał dodać od siebie. Nie tylko jeśli chodzi o smak. Klasyczne tiramisu zazwyczaj wygląda podobnie, bez względu na to, gdzie jest przygotowywane. Aleksandra jednak postanowiła postąpić niesztampowo – jej deser miał z wyglądu przypominać meksykańskie taco, które stworzyła z dwóch wafelków kakaowych. Pomiędzy nimi był biszkopt z kremem – i tak na przemian: biszkopt, krem... Kolejnym elementem kreatywnym był dżem i przyprawy. Każdy z zawodników miał do dyspozycji kuchenkę mikrofalową – Podlasianka w tym urządzeniu przygotowała karmel. Łączenie smaków, koncepcja wizualna – liczył się każdy szczegół.

– To było wspaniałe doświadczenie i myślę, że jeżeli pojawi się jeszcze podobna okazja, to jak najbardziej spróbuję swoich sił, bo bardzo mi się tam dobrze pracowało i podobała mi się ta formuła zawodów. Nie jestem osobą, który lubi rywalizację, która lubi zawody, a jednocześnie w tych kulinarnych bardzo dobrze się poczułam, dobrze się tam odnalazłam – wyznaje Aleksandra.

Te mistrzostwa tiramisu dały jej do myślenia. O tym, jak często sami siebie nie doceniamy, ale też, że w Polsce jest mnóstwo osób takich jak ona, które kochają piec w zaciszu swoich prywatnych kuchni. Może więc kolejnym pomysłem Aleksandry będzie zorganizowanie właśnie w naszym kraju eliminacji do Mistrzostw Świata w Tiramisu? Jednak na razie o tym cicho sza – to ciągle sfera jej marzeń, przynajmniej do czasu, zanim się nie odezwą do niej – z odpowiedzią na jej ofertę – organizatorzy konkursu.

eprasa.pl a96f14b85b

ROZMOWA

Bezpieczeństwo zaczyna się od wiedzy. „72 godziny, przez które odpowiadasz za siebie sam”

Czy Polacy są przygotowani na sytuację kryzysową? Dlaczego warto mieć plecak ewakuacyjny i nie liczyć wyłącznie na państwo? Czy Podkarpacie, z racji strategicznego znaczenia Jasionki, jest dziś bardziej zagrożone czy lepiej chronione? O tym rozmawiamy z płk. dr. Wiesławem Lewickim z Politechniki Rzeszowskiej, ekspertem ds. bezpieczeństwa i obronności.

Andrzej Pięs

- Po czterech latach wojny za wschodnią granicą wielu z nas nadal żyje w przekonaniu, że jest całkowicie bezpiecznych, pełną odpowiedzialność za swoje bezpieczeństwo cedując na armię i służby porządku publicznego. Co grozi społeczeństwu, które na takie zagrożenia samo nie jest gotowe?

- Odpowiedź jest banalna: ogromna liczba ofiar. Może trzeba zintensyfikować przekaz, że moje bezpieczeństwo to przede wszystkim zadanie dla mnie samego. Ludzie często zakładają, że o ich bezpieczeństwo zadbają wojsko, policja czy inne służby. Tymczasem nawet 80 - 90 proc. bezpieczeństwa zależy od nas samych. Nie będzie tak, że w sytuacji kryzysowej przy każdym obywatelu staną jednocześnie żołnierz, policjant i ratownik medyczny. Pierwszą linią obrony jesteśmy my sami. Przykładem mogą być Finowie, którzy przez bardzo wiele lat żyli pod presją rosyjskiego nacisku, bo dopiero niedawno stali się członkiem NATO, wcześniej o swoje bezpieczeństwo sami musieli zadbać. Od lat uczą obywateli zasady „72 godzin”. Oznacza ona, że przez trzy doby człowiek powinien być w stanie samodzielnie zapewnić sobie bezpieczeństwo w stu procentach: miejsce schronienia, zapasy wody, żywność, ciepło i podstawowe warunki do życia. I dopiero po tym czasie może oczekiwać pomocy państwa. Wpajane jest im to od wieku szkolnego po senioralny. Kto z nas w Polsce jest przygotowany na to, by 72 godziny przeżyć choćby tylko bez prądu?

- Jak o siebie i zapewne bliskich powinien zadbać przeciętny obywatel?

- Przede wszystkim przygotować własny plecak ucieczkowy, na co uczulam studentów. I nie kupować gotowego zestawu w internecie, ale skompletować go samodzielnie pod własne potrzeby i miejsce zamieszkania. W takim plecaku powinny znaleźć się między innymi: zapas wody, żywność długoterminowa, latarka czołowa, powerbank, podstawowe leki, dokumenty, ale też coś, co pozwoli zachować równowagę psychiczną w sytuacji silnego stresu. Ja do swojego zapakowałem różaniec, w bardzo stresogennej sytuacji skrajnego zagrożenia wsparcie duchowe jest nie mniej ważne niż zapasy żywności dla ciała. Jak ktoś chce, może zapakować talię kart do gry. Jak podkreśla ekspert, równie ważne jak przetrwanie fizyczne, jest utrzymanie odporności psychicznej. Podczas II wojny światowej powstało powiedzenie, że w okopach nie ma ateistów.

FOT. MARCIN ŻMINKOWSKI

Przez lata Europa, w tym Polska, żyła w przekonaniu, że wojna na kontynencie jest niemożliwa

- O plecak każdy sobie może zadbać, o bezpieczne miejsce schronienia już nie każdy.

– W Polsce nadal brakuje schronów i miejsc ukrycia, ale ich brak nie zwalnia nikogo z myślenia o własnym bezpieczeństwie. Moim zdaniem właściciele domów jednorodzinnych powinni rozważyć przygotowanie piwnic na potrzeby awaryjnego schronienia. Równie ważna jest współpraca sąsiedzka i tworzenie lokalnych grup wsparcia. Jeśli mam odpowiednie pomieszczenie, mogę zaprosić sąsiadów i wspólnie przygotować miejsce, w którym kilka rodzin przetrwa pierwsze godziny kryzysu. To właśnie budowanie odporności społecznej.

- Mówimy o bezpieczeństwie indywidualnym, tymczasem alert RCB z adnotacją „poszukaj miejsca bezpiecznego schronienia” wywołał wręcz panikę w szkołach, urzędach, obiektach użyteczności publicznej. Zbiorowo też nie jesteśmy przygotowani na natychmiastową ewakuację.

- I to wydarzenie obserwowały siły nam wrogie, zastanawiając się pewnie, w jaki sposób te obserwacje wykorzystać. Brakuje nam wiedzy i reakcji na zagrożenia indywidualnie i - jak się okazało - zbiorowo. A bezpieczeństwo zaczyna się od wiedzy: jeśli jesteśmy w stanie zidentyfikować, zdiagnozować źródła i rodzaj zagrożenia, również za pomocą posiadanej wiedzy będziemy mogli zapobiegać jego skutkom. Tym ważniejsze jest skuteczne przekonywanie obywateli, że tego rodzaju wiedza potrzebna jest nam wszystkim. Szczególnie w obliczu nowego rodzaju działań wojennych, jaki obserwujemy na Ukrainie. Czasy, kiedy wojna ograniczała się do działań pozycyjnych wojsk i zamykała w granicach frontu, odeszły bezpowrotnie. Atakowany z powietrza Lwów jest zaangażowany w działania wojenne kilkaset kilometrów od linii frontu. Ta wojna nie angażuje wyłącznie wojsk, angażuje całe społeczeństwo na całym terytorium. I to jeden z powodów, dla których wszyscy powinniśmy przygotować się na czarny scenariusz.

- Było o bezpieczeństwie indywidualnym, teraz o regionalnym: przed dwoma laty kremlowska telewizja straszyła zbombardowaniem lotniska w Jasionce, które stało się hubem pomocy dla Ukrainy. Mieszkańcy regionu zaczęli dyskutować: przez Jasionkę wzrosło dla nas zagrożenie czy strzeżeni przez baterie Patriot jesteśmy jednym z bezpieczniejszych miejsc w Europie. Które z tych twierdzeń jest bliższe prawdy?

- W takiej sytuacji mówimy już o groźbie zbrojnego konfliktu Rosji z NATO, starciu wielkich armii, a pełnoskalowy atak militarny na NATO jest mało prawdopodobny. W myśl takiego scenariusza Jasionka raczej nie będzie zaatakowana w sposób pełnoskalowy, ale już obiektem dywersji rosyjskiej może być, bo Rosja testuje odporność i reakcje państw NATO w taki właśnie sposób: pod progiem wojny, tolerowany przez opinię światową. Jeśli ktoś bywa w okolicach lotniska w Jasionce, to musi zauważyć, że port jest bardzo dobrze chronionym obiektem. Widzimy obecność wojska i policji, ale należy zakładać, że działa tam również wiele służb, których nie dostrzegamy, a które - zakładam - dostrzegają wszystko. I zapewne nie tylko polskich, sojuszniczych też. Bardziej realne są działania poniżej progu wojny: dywersja, sabotaż, cyberataki czy wojna informacyjna.

- Ukraiński Krym zajęły „zielone ludziki”, granice Łotwy – członek NATO – przekroczyła od strony Białorusi grupa uzbrojonych „Czarnych Rusów”, którzy zapowiedzieli podobne akcje w innych krajach NATO i UE. A nam to – zapewnia pan – nie grozi, bo?

– Podobne problemy ma estońska Narwa przy granicy z Rosją. Tak zwane zielone ludziki mogły działać tam, gdzie miały wsparcie części lokalnej społeczności: Narwę i okolice tego miasta zamieszkuje liczna mniejszość rosyjska, na Krymie bardzo wielu jej mieszkańców jeszcze przed inwazją „zielonych ludzików” w 2014 roku mocno sympatyzowało z Rosją i z nią się utożsamiało. W Polsce nie widzę przestrzeni dla podobnego zjawiska. Dywersanci zostaliby bardzo szybko zidentyfikowani i nie znaleźliby dla siebie wsparcia wśród lokalnej społeczności. Nie dostaliby schronienia, żywności, pomocy, leków, informacji, za to ich obecność zapewne natychmiast byłaby zgłoszona stosownym służbom. W sumie – znaleźliby się w skrajnie niesprzyjających warunkach, niemal uniemożliwiających działanie. Choć z drugiej strony – kreatywność Rosji w podejmowaniu działań dywersyjnych jest zaskakująco duża.

- A społeczeństwo polskie słabo na takie działania odporne. Już nie chodzi o brak schronów, lekceważenie zagrożeń i ironię wobec plecaków ewakuacyjnych. Wystarczyły dwa – trzy ataki frustratów na szkoły, by wywołać panikę. Rosja pewnie dostrzega w tym potencjał dywersyjny.

- I pewnie zauważyła, że rodzice ze strachu przestali posyłać dzieciarnię na lekcje, a przecież pełne ludzi na przykład galerie handlowe też mogą być obiektami podobnych i wywołujących panikę ataków. Przez lata Europa, w tym Polska, żyła w przekonaniu, że wojna na kontynencie jest niemożliwa. W efekcie społeczeństwa stopniowo traciły wiedzę dotyczącą obronności i przetrwania, w Polsce szkoła uchodziła za azyl bezpieczeństwa, teraz okazuje się, że takie przekonanie jest złudne, a my nie potrafimy zachować się wobec takich zagrożeń. Dawniej wielu młodych ludzi przechodziło służbę wojskową. Niezależnie od jej ocen, wynosili praktyczną wiedzę przydatną w sytuacjach kryzysowych. Dziś ta wiedza stopniowo zanika. Dlatego apeluję o większe zainteresowanie szkoleniami z zakresu ochrony ludności, pierwszej pomocy i reagowania kryzysowego, bo największym zagrożeniem nie jest dziś brak sprzętu czy schronów, lecz brak świadomości. ©℗

eprasa.pl a96f14b85b

Co zostanie dla nas, gdy oddamy sztucznej inteligencji myśli i uczucia? – Str. 24-26

PULS *regionów*

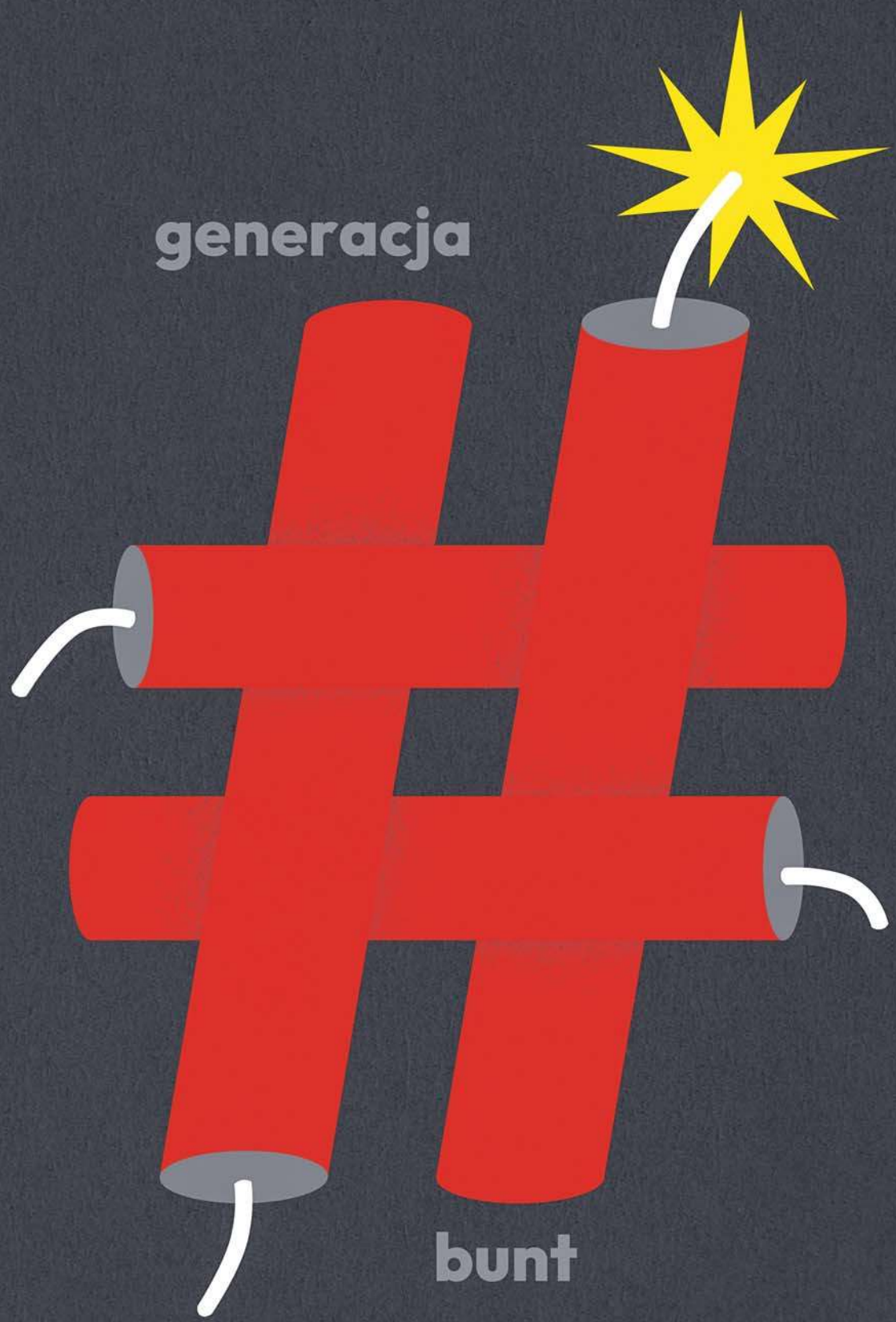

„Z” jak zrodzeni z gniewu – Str. 18-19

BT

eprasa.pl a96f14b85b

SPOŁECZEŃSTWO

Pokolenie Z. Ze szklanym sufitem nad głową i gniewem, który wybucha na ulicach

Francuska młodzież wyszła na ulice, bo chce się godnie uczyć. Ale poziom edukacji to niejedyny kłopot Pokolenia Z, które razem z Milenialsami zderza się ze szklanym sufitem. To mogą być pierwsze generacje od czasów drugiej wojny światowej, które będą żyły na niższym poziomie niż ich rodzice i nie powtórzą ich ekonomicznego sukcesu

Dorota Kowalska

Pod koniec ubiegłego weekendu Francja wyglądała jak strefa wojny: spalone auta, zdemolowane sklepy, na ulicach cegły i gruz. Światowe media donosiły: „Masowe protesty we Francji przeradzają się w najgorsze zamieszki od lat", „Francuski rząd pod presją po weekendzie pełnym przemocy", „Pół miliona protestujących zalewa Francję w obliczu buntu młodzieży".

W sobotę na ulice w całym kraju wyszło około 550 tysięcy osób. Większość z nich protestowała pokojowo, ale w centrach dużych miast sprawy wymknęły się spod kontroli. Bilans zatrzymań to blisko 2,4 tys. osób.

Wszystko zaczęło się od szkolnej młodzieży. 17 września uczniowie liceum pod Paryżem rozpoczęli protest przeciwko brakom kadrowym i złym warunkom panującym w szkole. Szybko dołączyli do nich koledzy z innych placówek. Potem studenci, rolnicy, związkowcy, przedstawiciele dawnego ruchu „żółtych kamizelek". W ostatni weekend ruch niezadowolonych stał się niemal masowy. Każdy miał swój powód do buntu. Młodzi chcą zatrudnienia większej liczby nauczycieli, zmniejszenie przepełnienia klas i remontów szkolnych budynków. Związki zawodowe i „żółte kamizelki" podnoszą problem cen paliw i żywności, zbyt niskich wynagrodzeń i emerytur, pogarszającej się jakości usług publicznych. Francuzom nie w smak planowane cięcia budżetowe, które obejmują zamrożenie płac.

Ale to nie oni stali za zamieszkami i chaosem. Tymi najbardziej agresywnymi demonstrantami byli, jak mówią śledczy, członkowie radykalnej skrajnej lewicy związani z Niepokorną Francją Jean-Luca Mélenchona. Ubierają się na czarno i maskują twarze, łączą się w zwarte grupy, atakują policję, symbole państwa, potem mieszają się z tłumem. Do nich dołączyli szabrownicy. Ci wykorzystują chaos do okradania sklepów. Nie są związani ani z licealistami, ani z żadną opcją polityczną. Chcą kraść: wybijają witryny sklepów z drogą odzieżą, elektroniką i wynoszą z nich, ile zdołają unieść.

W sobotę francuskie służby nie przewidziały rozmiarów społecznej mobilizacji. W centrach miast pojawiały się niewielkie, szybko przemieszczające się grupy chuliganów. Policjantów było zbyt mało, by jednocześnie kontrolować oficjalne demonstracje i dziesiątki spontanicznych zgromadzeń. Stąd burdy, zamieszanie, chaos.

Tam młodzież siedzi cicho

Ci młodzi, od których wszystko się we Francji zaczęło, to przedstawiciele Pokolenia Z, społeczności obejmującej osoby urodzone w latach 1995-2012 (według części źródeł 1997-2012), następującej po Milenialsach (pokoleniu Y). Jednak, jak donoszą europejskie gazety, uczniowie szkół średnich w innych krajach europejskich nie wydają się być tak chętni do demonstracji, mimo że wiele ich problemów nie różni się zbytnio od tych, z jakimi zmagają się ich francuscy rówieśnicy. No, może wyjątkiem są młodzi Belgowie – oni też wychodzą na ulice. Nie godzą się na reformy zatwierdzone w regionach francuskojęzycznych, a te obejmują plan dużych oszczędności w finansowaniu edukacji. Tam protesty, chociażby ten w Liège, też zakończyły się aresztowaniami.

BBC NEWS Polska próbowała odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego inni młodzi Europejczycy ze spokojem przyglądali się chaosowi na francuskich ulicach. Stacja prześledziła, jak tłumaczą to sobie dziennikarze, publicyści, eksperci.

I tak Chloe Combi w brytyjskim dzienniku „The Independent" zauważa, że młodzi w Wielkiej Brytanii nie wykazują „nawet krztyny zainteresowania protestami" ich francuskich kolegów. Chociaż brytyjskie szkolnictwo także cierpi na niedobór nauczycieli, cięcia budżetowe i niebezpieczne budynki.

Według Combi młodzi Brytyjczycy nie wierzą, że mogliby coś zmienić, do tego dochodzi „niezdrowy cynizm, który widać u wielu (ale bynajmniej nie wszystkich) młodych ludzi, zgodnie z którym przejmowanie się czymkolwiek jest trochę żałosne".

Ciekawe spostrzeżenia ma jednak Kitty Sayers, brytyjska studentka, która dorastała we Francji. Młoda kobieta tłumaczy dziennikarzowi „The Guardian", że francuskie dzieci „uczą się, że protesty, powstania i zamieszki są źródłem ich wolności, dlatego te metody są propagowane w dążeniu do zmian".

We Włoszech Pokolenie Z też nie wyszło na ulice, a miałoby do tego powody. Jak jednak pisze dziennikarka i pisarka Elisabetta Ambrosi w gazecie „Il Fatoo Quotidiano", młodych jest tu jednak mniej niż we Francji, poza tym wielu uczniów już w szkole średniej musi pracować, aby utrzymać swoje rodziny. Duża część z tego właśnie powodu porzuca studia, przez co, jak to określa autorka, ma mniejsze możliwości „krytycznej interpretacji ucisku i niesprawiedliwości".

Owszem, we włoskich szkołach i na uniwersytetach pojawiają się protesty, ale nie na taką skalę, jak to widzimy we Francji.

Rumuński portal informacyjny Informat także zauważa, że w Rumunii, gdzie młodzież boryka się z wieloma problemami podobnymi do tych we Francji, młodzi „zazwyczaj wybierają symboliczny protest zamiast konfrontacji".

„Problemy podnoszone przez francuskich nastolatków mają swoje wyraźne odpowiedniki w Rumunii: niedobór nauczycieli, przepełnione klasy, słaba infrastruktura, presja związana z ocenami oraz poczucie, że głos uczniów nie jest wystarczająco brany pod uwagę" – pisze portal. I wyjaśnia: „Różnica między Rumunią a Francją wynika zatem nie tyle z powagi problemów, co ze zdolności do organizacji, tradycji protestu oraz postrzeganych kosztów konfrontacji".

W Polsce Pokolenie Z też masowo nie wychodzi na ulice. Owszem, protestuje przeciwko temu, że rządzący nie robią nic albo niewiele w obliczu zmian klimatycznych, młodzi bronią Palestyńczyków i praw kobiet, ale nie ma mowy o „pospolitym ruszeniu".

Historycznie naznaczeni

Pewne światło na to, co dzieje się we Francji, rzuca prof. Wojciech Janicki, dyrektor Instytutu Geografii Społeczno-Ekonomicznej i Gospodarki Przestrzennej UMCS. Jak tłumaczył na antenie Polskiego Radia 24, stan infrastruktury szkolnej we Francji jest w opłakanym stanie, a różnica między Polską a Francją w tym obszarze może być dziś zaskakująca dla osób, które pamiętają, jak jeszcze kilkadziesiąt lat temu postrzegano oba te państwa.

– Okazuje się, że jeśli chodzi o jakość infrastruktury szkolnej, to Polska w większości przypadków jest dziś daleko przed Francją. Proszę sobie wyobrazić, że są we Francji licea publiczne, w których nie ma ogrzewania. Sam nie byłem w stanie w to w pierwszej chwili uwierzyć, ale to jest informacja z pierwszej ręki od osoby, która skończyła publiczne liceum we Francji – opowiadał profesor. Są szkoły, w których z sufitów odpadają całe płaty tynku i gipsu. Są szkoły, w których hula wiatr przez nieszczelne okna. Są szkoły, które są przeszklone, co wygląda nowocześnie, ale latem w takich pomieszczeniach powinna być klimatyzacja, a jej nie ma.

Problemy francuskiej szkoły to nie tylko stan budynków – również kadry nauczycielskiej, a wiadomo, że braki pracowników bezpośrednio przekładają się na organizację nauki.

– Francuska szkoła okazuje się być bardzo niedoinwestowana także w kwestii związanej z wynagrodzeniami dla nauczycieli. Ci biorą zwolnienia, a dyrektor nie ma kim ich zastąpić. Uczniowie potrafią nie mieć maturalnego przedmiotu przez trzy miesiące z rzędu. To pękło, to wybuchło, młodzież wyszła na ulicę – mówił prof. Janicki.

Jego zdaniem trudno tłumaczyć takie zachowania wyłącznie obecnością imigrantów. – Przecież wytłumaczenie, że to robią imigranci, jest nieprawdziwe, dlatego że imigranci są także w Austrii, są także w Hiszpanii, są także w Norwegii. I tego typu obrazy są tam absolutnie sporadyczne, a we Francji są codziennością – zaznaczył.

Dlaczego? Profesor przywołał rozmowę z rodowitą Francuzką, którą zapytał o źródła tego zjawiska. Usłyszał odpowiedź, która może niektórych szokować. Brzmiała dokładnie tak: „A bo my mamy takie tradycje rewolucyjne już od czasów Robespierre'a i tak się przyzwyczailiśmy do tych wolności i tak je wykorzystujemy".

– To kolejna zaskakująca odpowiedź, ale okazuje się, że jeśli jest się tam w środku, to tego typu myśli ludziom po głowach chodzą, że właśnie tak należy wyrażać swoje niezadowolenie ze stanu społeczeństwa czy gospodarki – podsumował prof. Wojciech Janicki.

Młodzi pod ścianą

Inna rzecz – o czym coraz częściej piszą tak socjologowie, jak ekonomiści – że młodzi w krajach wysoko rozwiniętych, w krajach bogatego Zachodu zderzają się ze szklanym sufitem. Wiedzą już, że nie powtórzą sukcesu ekonomicznego swoich rodziców. Zjawisko to, nazywane też kryzysem mobilności międzypokoleniowej, sprawia, że generacja Milenialsów oraz Pokolenie Z, czyli zbuntowana francuska młodzież, mogą być pierwszymi od czasów drugiej wojny światowej, które będą żyły na niższym poziomie materialnym niż ich rodzice.

Przyczyn takiego stanu rzeczy jest przynajmniej kilka. Pierwsza to koszty życia i stagnacja płac, bo choć statystyczne zarobki rosną, to pożera je inflacja, koszty energii oraz codzienne utrzymanie. Kolejna kwestia – kryzys mieszkaniowy. Ceny nieruchomości i koszty wynajmu w Europie Zachodniej, ale też i Środkowej, rosły w ostatnich dekadach wielokrotnie szybciej niż pensje. Dla wielu młodych zakup własnego mieszkania bez pomocy finansowej rodziny stał się niemożliwy. Rodzicom Pokolenia Z i Milenialsów było w tym obszarze znacznie łatwiej.

Dalej – dzisiaj wyższe wykształcenie przestało być gwarantem sukcesu finansowego. Przy tak dużej

eprasa.pl a96f14b85b

ilości uczelni wyższych, także tych prywatnych, nie jest problemem zdobycie tytułu magistra. Tyle tylko, że młodzi ludzie nawet po skończeniu studiów często pracują w zawodach poniżej swoich kwalifikacji.

Do tego, w krajach anglosaskich absolwenci uczelni wyższych często muszą spłacać kredyty zaciągnięte na pokrycie czesnego oraz kosztów utrzymania, a to sprawia, że zarabiać tylko na siebie zaczynają znacznie później.

W końcu, jeśli już przedstawiciele Pokolenia Z czy Milenialsów pojawią się na rynku pracy, często nie dostają etatów, zawierają kontrakty, dostają zlecenia albo umowy śmieciowe, a te nie pozwalają na zaciąganie kredytów czy planowanie rodziny.

FOT. PAP/EPA

Zamieszki we Francji trwały kilka dni. Teraz w Paryżu obowiązuje godzina policyjna. Ale młodzi protestowali też w Mediolani i w Lizbonie

Praca to nie wszystko

Cóż, Pokolenie Z – zwłaszcza na Zachodzie – zmienia więc swoje priorytety. Sukcesu materialnego rodziców prawdopodobnie nie osiągnie, stawia więc przed sobą inne cele. Jest elastyczne, szuka balansu między pracą zawodową a życiem prywatnym, interesuje się swoim zdrowiem psychicznym i dobrym samopoczuciem, podróżuje, zwiedza świat.

I choć w Polsce sytuacja nie jest drastyczna, ten szklany sufit nie wisi młodym tuż nad głowami, to oni, podobnie jak ich zachodni koledzy, też zmieniają podejście do życia.

Julia, 30 lat, pracuje w korporacji. Ciemne, długie włosy, wielkie brązowe oczy. Energiczna.

– Mam to szczęście, że praca jest jednocześnie moją pasją. Obecnie najważniejsza jest dla mnie możliwość rozwijania się, odkrywania tego, co podoba mi się w tej pracy najbardziej – opowiada.

Nie wyobraża sobie w przyszłości pracować w miejscu, w którym przez większość czasu musiałaby się męczyć. Oczywiście zarobki mają dla niej znaczenie, w końcu trzeba z czegoś żyć. Muszą być adekwatne do czasu i wysiłku, jaki wkłada w to, co robi.

– Mimo tego, że praca jest zgodna z moim zainteresowaniami, uważam, że nie można doprowadzić do sytuacji, w której zaczyna dominować nad innymi obszarami życia. Trzeba znaleźć czas zarówno na nią, jak i na rodzinę, przyjaciół, odpoczynek, hobby czy naukę – mówi. – Jeśli praca zaczyna dominować nad innymi sferami życia, sytuacja przestaje być zdrowa– dodaje.

Julia podkreśla, że w pracy – nieważne, czy jest to praca „na chwilę", czy miejsce, z którym wiąże się przyszłość – trzeba stawiać jasne granice, szczególnie jeśli dopiero zaczyna się zawodowe życie. Ona nie zamierza pracować po dwanaście godzin dziennie, poświęcać na pracę wolne weekendy tylko dlatego, że jest młoda, a „młodzi muszą zasuwać więcej". Nie przekonują jej argumenty typu: „Za moich czasów młodzi pracowali po szesnaście godzin, żeby być coraz lepszymi". Może kiedyś tak było, ale czasy się zmieniają. Społeczeństwo, jak mówi, uświadomiło sobie, że praca to nie wszystko. Dzisiaj można być dobrym, nawet najlepszym i dzielić czas między życie zawodowe, odpoczynek, przyjemności. Ona spotyka się z przyjaciółmi, podróżuje, chodzi do kina, teatru. Dba o siebie: regularnie się bada, chodzi na basen i kosmetyczki.

Z badań wynika, że prawie dwóch na czterech przedstawicieli Pokolenia Y i Z wolałoby być bezrobotnymi niż utknąć w pracy, która nie sprawia im przyjemności. Co więcej, ponad połowa Milenialsów i przedstawicieli Pokolenia Z odeszłaby z pracy, gdyby ta kolidowała z ich życiem prywatnym. Woleliby też pracować w firmie, której przyświeca misja zgodna z ich światopoglądem.

Najważniejszymi obszarami pracy dla młodych osób okazują się: zdobycie doświadczenia zawodowego, wysokie zarobki, przyjazna atmosfera, poczucie sensu wykonywanej pracy i praca zgodna z zainteresowaniami. Obszary trudne do zaakceptowania to: brak możliwości rozwoju, nieadekwatne zarobki do oczekiwań, wysoki poziom stresu, konflikt w zespole i brak możliwości awansu. Co ciekawe, młodzi pracownicy postawieni przed wyborem „work-life balance" czy „wysokie zarobki", w 58 proc. wybrali balans między życiem prywatnym a pracą.

Chcą żyć pełną piersią

Bartek, 32 lata, pracownik w dużej firmie logistycznej. Wysoki, długie włosy ściągnięte w kucyk. Dużo czyta, wspina się na skałkach, jeździ na rowerze.

– Mam ciekawą pracę, która daje mi kupę radości, ale zawsze traktowałem ją tylko jako pracę. Mam dwójkę dzieci, żonę, masę zainteresowań, muszę mieć czas na życie – tłumaczy.

Mimo że mógłby pracować więcej, brać nadgodziny, nie chce. Uważa, że najważniejsza jest równowaga. Wystarczy mu tyle pieniędzy, ile ma. Nie musi mieszkać w wielkim domu i jeździć najnowszym modelem BMW. Nie musi latać w wakacje na Polinezję Francuską czy na Dominikanę, chociaż ta ostatnia nie jest już tak droga, jak kiedyś. Dla niego są w życiu ważniejsze rzeczy. Po pracy poświęca czas dzieciom, żonie i sobie. Nawet w robocze dni chodzą na spacery, w lecie piknikują, jeżdżą na rowerach. Wykorzystuje urlopy, w weekendy często organizują wycieczki za miasto.

Szefowie znają jego podejście do pracy i rozumieją, że równie ważne jest dla niego życie prywatne. Robi swoje najlepiej jak potrafi, jest w firmie chwalony, ale wychodzi z pracy i zostawia życie firmy za sobą.

– Nie chcę pracować tak jak moi rodzice, od rana do wieczora. I nie zamierzam się z nimi ścigać – nie warto. Nigdy ich nie dogonię, nigdy nie odłożę tyle pieniędzy, co oni – wybucha śmiechem.

Z analizy przeprowadzonej przez think tank Resolution Foundation w ośmiu zachodnich krajach wynika, że dochody Milenialsów tuż po trzydziestce są o 4 proc. niższe niż ich rodziców (Pokolenia X), gdy byli w tym samym wieku.

Najbardziej boleśnie odczuli to Milenialsi z Wielkiej Brytanii i Hiszpanii. Podczas gdy przedstawiciele generacji X z Wysp zarabiali tuż po 30-tce aż o 54 procent więcej od baby boomersów (urodzonych w latach 1946-65), osoby urodzone w latach 1980-2000 miały dochody o zaledwie 6 proc. wyższe niż „iksy" (w analogicznym wieku). W jeszcze gorszej sytuacji są młodzi Hiszpanie. Podczas gdy osoby z pokolenia X zarabiały tam aż o 62 proc więcej od osób z poprzedniej generacji, Milenialsi są już o 30 proc. biedniejsi od „iksów". W Polsce Pokolenie Z i Milenialsi wciąż często zarabiają więcej niż rodzice w ich wieku, ale nie jest to już reguła.

Kolega Bartka, Wojtek, 29 lat. Inżynier eksploatacji pojazdów samochodowych, pracuje jako przedstawiciel handlowy. Dla niego praca jest tylko i wyłącznie narzędziem w zdobyciu środków oraz potrzebnego doświadczenia do rozpoczęcia działalności związanej z jego pasją, czyli podróżowaniem. I bardzo chciałby kiedyś na tej swojej pasji zarabiać.

– Zdecydowanie pracuje, żeby żyć – mówi.

Przyznaje, że na początku nie oddzielał pracy od życia prywatnego. Nie zdawał sobie sprawy, jakie to ważne. Dzisiaj jest inaczej. I widzi, że takie podejście do pracy ma kolosalny wpływ na osiągane w niej wyniki, życie prywatne, kontakty i relacje z najbliższymi. W każdy wolny dzień stara się gdzieś pojechać, coś zobaczyć. W weekendy, podczas urlopu – podróżuje.

Po prostu – chce być szczęśliwy i mieć co wspominać na starość. Chce cieszyć sie życiem i czerpać z niego, ile się da. Robić rzeczy, które lubi, które sprawiają mu radość. Na koniec przytacza cytat ze swojego ulubionego filmu „Chłopaki nie płaczą." Mówi, że te słowa padają w dość groteskowej sytuacji, ale są bardzo prawdziwe: „ Wystarczy że odpowiesz sobie na jedno ważne pytanie: co lubię w życiu robić? A potem zacznij to robić."

Oczywiście, jest część młodych ludzi, którzy chcą robić korporacyjne kariery, pracują po godzinach, w weekendy i zrobią wszystko, żeby awansować. Ale większość młodych chce granic. Angażują się w pracę, chcą ją wykonywać jak najlepiej, ale za odpowiednie wynagrodzenie. Chcą jasnych zasad, których będą przestrzegać, ale których przestrzegać będą również ich szefowie. Dbają o siebie, stawiają na swój rozwój, szanują swój czas wolny. A ten przeznaczą no to, co naprawdę lubią robić w życiu. I nie jest to ściganie się z rodzicami.

eprasa.pl a96f14b85b

WYWIAD

Kowal: Polski dzisiaj nie stać na nerwowe reakcje, nie stać na odreagowywanie każdej wypowiedzi Putina

–Jedynym sposobem na te trudne czasy jest zbroić się, rozwijać przemysł, przygotowywać społeczeństwo, żeby się nie bało, spokojnie reagować na codziennie zmieniającą się rzeczywistość, bo histeria nie jest dobrym doradcą w czasach wojny – mówi mówi Paweł Kowal, polityk, historyk, przewodniczący Rady do spraw Współpracy z Ukrainą, przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych

Dorota Kowalska

Myśli pan, że Donald Trump dogadał się z Władimirem Putinem?

To ciągle ta sama historia. Od czasu do czasu Amerykanie boją się, że władza w Rosji upadnie i będzie zamieszanie. Nie ekscytuję się tą historią, dlatego że widzę, co się dzieje w czasie tej wojny. Dziś jest tak, jutro inaczej.

Dobrze, ale zestawię fakty z ostatnich dni: Trump ograniczył sankcje w stosunku do Rosji, sprowadza za to olej napędowy z Federacji Rosyjskiej, czyli daje Putinowi zarobić. Zełenskiego atakuje od dłuższego czasu, oskarża go, że nie chce zakończenia wojny, i że tak naprawdę to on jest odpowiedzialny za kryzys paliwowy na świecie, chociaż wszyscy doskonale wiedzą, iż to kryzys spowodowany uderzeniem Stanów Zjednoczonych i Izraela na Iran.

A my spokojnie odpowiadamy, że ten kierunek polityki do niczego nie doprowadzi, tylko zwiększy koszty tej wojny po stronie Zachodu i Stanów Zjednoczonych, że ten kierunek jest wbrew naszym interesom. I to będzie wiadomo już za kilka tygodni. Zobaczy pani, że administracja amerykańska będzie się wycofywała z tej polityki.

Nawet Wołodymyr Zełenski powiedział, że uważa, iż administracja Trumpa podjęła działania, które mają zmusić Ukrainę do kapitulacji.

Polski polityk mówi z punktu widzenia polskiej racji stanu. Z punktu widzenia polskiej racji stanu łagodzenie sankcji nałożonych na Rosję jest złe w każdym aspekcie, dlatego że wzmacnia finansowo Rosję i zwiększa ostatecznie koszty wojny po stronie Zachodu, Polski, a także Stanów Zjednoczonych. Takie jest doświadczenie każdego konfliktu zbrojnego w ostatnich stu latach – gdy Stany chciały „zaoszczędzić na bezpieczeństwie", płaciły więcej.

No dobrze, panie ministrze, ale może Trump tego właśnie chce?

To jest podporządkowane wyborom w Stanach Zjednoczonych, które odbędą się tam za dwa tygodnie. Każdy polityk to rozumie.

Wstępne analizy mówią, że Republikanie te wybory przegrają.

I sami Republikanie krytykują politykę prezydenta Trumpa, więc bez naszych komentarzy i naszego udziału ta polityka zostanie niebawem skorygowana. Sami Republikanie, widząc, co się dzieje w Stanach, jakie są nastroje wśród wyborców republikańskich, sami, powtarzam, krytykują prezydenta Trumpa, więc nawet nie musimy nic dodawać.

Myśli pan, że dojdzie do spotkania, które nazywane jest dzisiaj drugą Jałtą, między Putinem, Trumpem i przywódcą Chin?

Jeśli nawet dojdzie, to skończy się tak jak na Alasce.

Czyli?

Czyli niczym. To nie jest tak, że Putinowi zamarzyło się, aby zostać nowym Stalinem i stara się inscenizować porozumienia jak w Jałcie. Nie dajmy się w to wkręcić. Czy pozwolą na to same Chiny? A Indie? Czy taka polityka ma poparcie w USA? Polityka Stanów Zjednoczonych rządzi się normalnymi demokratycznymi kryteriami. Niedługo będą wybory połówkowe do Kongresu. Zaraz potem Ameryka wejdzie w kampanię prezydencką. Nawet jeżeli prezydent Trump porozmawia z Xi i z Putinem, to znając politykę amerykańską, nie widzę możliwości, żeby jakieś, najogólniej mówiąc, niedemokratyczne ustalenia zostały zaakceptowane w Stanach Zjednoczonych.

Pan dość lekko mówi o tym, co się dzieje...

Po prostu mówię spokojnie, a nie nerwowo. Polski dzisiaj nie stać na nerwowe reakcje, nie stać nas na odreagowywanie każdej wypowiedzi Putina i każdej jego propozycji. Lekarstwem na te trudne czasy jest raczej spokój niż histeria. Tyle chciałem powiedzieć.

Tylko to, co mówi i robi Trump, ma przełożenie na rzeczywistość. Wiadomo, że przez ostatni czas Amerykanie nie udzielali informacji wywiadowczych Ukrainie, sam Zełenski przyznał, że nie mieli ostrzeżenia o ataku balistycznym Rosji. Dlatego w Kijowie zginęli ludzie. Więc to nie jest tak, że są to tylko słowa niepoparte jakąś rzeczywistością, która dotyka Ukrainę, a za chwilę może dotykać także nas.

Źle, że tak się stało. Tymczasem Ukraińcy znowu otrzymują informacje wywiadowcze od Amerykanów. Naprawdę jedynym sposobem na te trudne czasy jest zbroić się, rozwijać przemysł, przygotowywać społeczeństwo, żeby się nie bało, spokojnie reagować na codziennie zmieniającą się rzeczywistość, bo histeria nie jest dobrym doradcą w czasach wojny.

Dobrze, ale co takim zachowaniem chce osiągnąć Trump? Mówi pan, że chodzi o politykę wewnętrzną, mamy za dwa tygodnie wybory do Kongresu. No i co on właściwie chce pokazać?

Nie wiem dokładnie, co chce pokazać, bo nie siedzę w głowie prezydenta Stanów Zjednoczonych. Po prostu wiem, że nawet w czasach, gdy nam się nie podobają poszczególne ruchy czy, szczególnie, wypowiedzi prezydenta Stanów Zjednoczonych, to nie zmienia zasadniczego faktu, że jesteśmy częścią NATO, naszym sojusznikiem są Stany i w naszym interesie leży utrzymanie sojuszu zachodniego. W naszym interesie jest pójście drogą, którą wskazuje generał Alexus Grynkewich. I zawsze, kiedy analizuję wypowiedzi prezydenta Trumpa, to przyglądam się, co się jednocześnie dzieje na operacyjnym poziomie Pentagonu. I tego się trzymam, bo wiem, że to jest ten prawdziwy wektor polityki, a reszta jest w dużym stopniu uwikłana w emocje i taktyczne rozgrywki.

Generał Grynkewich powiedział ostatnio, że Rosja nie ma szans na wygraną z NATO. Pan się z tym stwierdzeniem zgadza?

Jeżeli Grynkewich tak mówi, to znaczy, że jest to oparte na faktach. Mówi jasno: jeśli Rosja chce, to pozostawiamy Rosji wybór, jak chce z nami walczyć, ale w każdym wariancie odpowiemy i wygramy. Takie podejście mi pasuje.

FOT. ADAM JANKOWSKI

Paweł Kowal: Polska jest jednym z niewielu krajów w Europie, w których sytuacja polityczna jest stabilna

Cieszyć może fakt, że w tej sytuacji, jaką mamy, Europa o wojnie w Ukrainie mówi jednym głosem.

Ale i tu należy być ostrożnym – dzisiaj mówi jednym głosem. Polska jest jednym z niewielu krajów w Europie, w których sytuacja polityczna jest stabilna i można plus minus powiedzieć, co będzie za kilka miesięcy. O większości dużych krajów europejskich tego powiedzieć się nie da. Więc tak jak na odcinku amerykańskim mamy niepewność wynikającą ze zmieniającej się narracji prezydenta, tak na odcinku europejskim mamy niepewność wynikającą z niestabilności kilku głównych rządów europejskich. Musimy sobie radzić w takiej sytuacji. Jak na te niespokojne czasy mamy bardzo dobrego, doświadczonego premiera i stabilny rząd. Mamy sojuszników. Mamy dobry budżet na obronę i trzeba też w tych trudnych czasach rozmawiać ze społeczeństwem o paradoksalnych pozytywnych aspektach tej sytuacji.

Ma pan rację, ostatnie dni to protesty we Francji, Włoszech, w Hiszpanii, w Portugalii, w Albanii. Buntują się młodzi, ale ludzie są niezadowoleni z wysokich kosz-

eprasa.pl a96f14b85b

tów życia, a te z kolei spowodowane są cenami paliw. Decyzje Donalda Trumpa rzutują także na sytuację w Europie, zauważył pan?

Myślę, że z jednej strony na pewno tak, a z drugiej pewnie okaże się, że do tych protestów swoją propagandą w sieci mocno przyczynili się Rosjanie. A wracając do prezydenta Trumpa – dla mnie, jeśli chodzi o sposób komunikacji, jest jak kiedyś dla nas prezydent Lech Wałęsa. Składa deklaracje, a pół świata dochodzi, co dokładnie miał na myśli. Niektórych to fascynuje, natomiast ja patrzę na to, co się realnie dzieje. I jeszcze raz powtórzę: widzę, że w Stanach Zjednoczonych polityka Trumpa ma słabe poparcie wśród Republikanów i żadne wśród Demokratów. Widzę, że niezależnie od tego, co dzisiaj powiemy, Amerykanie sami doprowadzą do jej zmiany. A jeżeli chodzi o to, co się dzieje w Europie, to we Francji nie ma pokolenia, które nie przeszło przez jakieś „żółte kamizelki" i fale protestów, więc też nie ma co dramatyzować. Nie ma końca świata.

Nie mówimy tylko o Francji. Wymieniłam cztery inne kraje, w których dochodzi do demonstracji. I mówimy tylko o kilku ostatnich dniach.

To jest kolejny dowód na to, o czym mówię: trzeba chwalić Boga, że w Polsce mamy stabilny rząd, który dobrze się sprawdza w tak trudnych warunkach, jakie mamy obecnie, bo w mało którym miejscu w Europie mogą się tym pochwalić.

Co właściwie my możemy zrobić przy dość niestabilnym, tak to powiem, Donaldzie Trumpie i takiej sytuacji w Europie, jaką mamy?

Po pierwsze wierzyć w to, że Zachód działa z pewnym opóźnieniem, jeżeli chodzi o walkę z totalitaryzmami i autorytaryzmami. Ale jak uczy nas historia, kiedy Europa się zjednoczy, zawsze w końcu wygrywa. Tak będzie też tym razem. Głównym przeciwnikiem jest tu Rosja, która stara się rozwalić Zachód i korzysta z każdej okazji, żeby nas zastraszyć.

Tylko sam Zełenski powiedział bardzo ważną rzecz, że bez pomocy Amerykanów Ukraina się nie utrzyma i przegra tę wojnę. Pan jest przekonany, że pomoc dla Ukrainy będzie płynęła mimo tego, co mówi i co robi Donald Trump, tak?

Po prostu analizuję politykę. Prezydent Zełenski musi stawiać sprawy w taki sposób, jaki jest w jego interesie. Gdybym był na jego miejscu, też bym tak robił. Donald Trump ma swoje plany wewnątrz Ameryki i je realizuje. A my, Polacy, mamy swoje plany. Nasze plany i nasze cele polegają na tym, żeby Rosja była słabsza. I to jest powód, dla którego krytykujemy znoszenie wobec niej sankcji. To jest powód, dla którego udzielamy wsparcia Ukrainie. To jest powód, dla którego – i to przede wszystkim – sami się zbroimy. To jest powód, dla którego robimy szkolenia w szkołach. To jest powód, dla którego wspieramy organizacje, które budują odporność na ruską propagandę. Z polityką międzynarodową często jest tak jak w starym arabskim przysłowiu: „Wielbłąd ma swoje plany, a poganiacz swoje". Każdy musi robić swoje. Najlepszy moment w tym kontekście przychodzi wtedy, kiedy łapiemy z sojusznikami synergię. I to, co jest największym plusem, to fakt, że dzisiaj inaczej niż wielokrotnie w historii jako Polacy możemy powiedzieć, że mamy pewnych sojuszników.

Czyli kogo?

Unię Europejską, Stany Zjednoczone, Kanadę, Japonię, Koreę Południową, Australię. To, co się mieści w ramach politycznego Zachodu i jego sojuszników.

Jest pan przekonany, że gdyby Putin w jakiś sposób zaatakował któreś z państw NATO, to NATO by wykazało jedność?

Jestem realistą. Wiem, że za darmo nie dostaje się wsparcia. Ci, którzy chcą wsparcia, muszą udzielać wsparcia innym. Ci, którzy chcą wsparcia, muszą sami wydawać na zbrojenia. Polska to robi. Nic więcej nie da się zrobić. Jeżeli chodzi o resztę, trzeba zaufać Opatrzności lub losowi, jak kto woli. Trzeba po prostu zrobić to, co do nas należy, i my tak robimy. Ale przede wszystkim podoba mi się, że Polacy to rozumieją. Byłem w ubiegłym tygodniu w Estonii. Chciałem zobaczyć przejście graniczne w Narwie, najbardziej newralgiczne przejście graniczne między Unią a Rosją. I to mnie szczególnie skłoniło do takiej refleksji, że siedemdziesiąt osiem procent Polaków rozumie, iż trzeba wesprzeć sojuszników na północy, bo to jest jedna z dodatkowych gwarancji, że my dostaniemy wsparcie w razie potrzeby także od nich. Nie ma nic na sto procent, ale nam się udało zmaksymalizować prawdopodobieństwo wsparcia sojuszniczego, na ile to możliwe.

Jak pan myśli, jest szansa zakończenia konfliktu w Ukrainie w najbliższych miesiącach?

Nie.

Czyli co? Ten konflikt będzie trwał kolejne lata?

Jedyną drogą do zakończenia tego konfliktu jest osłabienie Rosji i zmiana na Kremlu. Nie ma innej możliwości. Ukraińcy będą bronić swojego terytorium. Mają głębokie poczucie racji i mają tę rację. Po ich stronie stoją wszystkie zasady moralne i prawo międzynarodowe. Problem polega tylko na tym, że jeśli będą łagodzone sankcje wobec Rosji, Rosja będzie wpuszczona na salony, to wojna tylko będzie się przedłużała. Nie da się z zewnątrz zmusić Ukraińców do tego, żeby zrezygnowali ze swojego terytorium, jeśli wszystkie racje moralne i prawne są po ich stronie, a oni się biją.

A tak swoją drogą, nie oburzyła pana uchwała Lwowskiej Rady Obwodowej ustanawiająca rok 2027 Rokiem Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA), Romana Szuchewycza oraz Ołeha Olżycza?

Roman Szuchewycz odpowiada za liczne zbrodnie wojenne i ludobójstwo. Dlatego decyzja Lwowskiej Rady Obwodowej godzi w relacje Ukrainy z Polską, UE i NATO oraz jest nieakceptowalna dla wszystkich, którzy wyznają zachodni system wartości oparty na prawach człowieka. Zrozumiałe jest zatem, że budzi w Polsce powszechne oburzenie. Jak ktoś, kto idzie w kierunku Unii, może sobie wziąć na sztandar zbrodniarza wojennego? Czy radni obwodowi we Lwowie myślą, że nikt nie przetłumaczy na angielski rozkazów Szuchewycza? Dla mnie ta decyzja radnych obwodowych musiała być inspirowana przez jakieś ciemne siły. Inaczej nie potrafię sobie tego wytłumaczyć.

Wracając jeszcze do wojny w Ukrainie. Mam takie wrażenie, że sankcje nałożone na Rosję, które trwają już kilka lat, nie przynoszą oczekiwanych efektów. Nie widać, żeby Rosja była na kolanach, chociażby gospodarczo.

O, Rosja jest w słabej sytuacji gospodarczej, coraz częściej dochodzą głosy o fałszowaniu danych gospodarczych w Rosji. Wystarczy przeczytać raporty banków, żeby wiedzieć, że Rosja jest w kiepskiej sytuacji gospodarczej. To dlatego Rosja tak zabiega dzisiaj o wsparcie administracji prezydenta Trumpa. Kierownictwo rosyjskie na czele z Putinem boi się, że utraci władzę. To oczywiste, że to są prawdziwe powody tego wszystkiego, co obserwujemy i o czym rozmawiamy w tym wywiadzie – one tkwią właśnie w słabości Rosji. Proszę sobie wyobrazić tę sytuację bez sankcji, gdyby Rosja miała nieograniczony dostęp do rynków, sprzedawała i miała jeszcze więcej pieniędzy na zbrojenia. Jednak bilans jest taki, że Rosja nie osiągnęła żadnego politycznego celu, a nawet nie jest w stanie osiągać celów wojskowych, mimo że jest taką potęgą. To powinno wszystkich zastanowić – Rosja po czterech latach wojny jest niemal w tym samym miejscu, w którym stała w 2022 roku. Nawet Donbasu nie zdobyli.

Dziwi mnie, że przez te cztery lata Rosjanie się nie przebudzili. Są ataki na Rosję, oni tej wojny coraz bardziej doświadczają, ale nie widać tam jakiegoś buntu, sprzeciwu wobec polityki Putina.

To jest hipermilitaryzowane społeczeństwo – trzeba to zrozumieć. Ostatnie trzydzieści pięć lat po rozpadzie Związku Sowieckiego budowaliśmy dobrobyt, zbudowaliśmy jedną z najlepszych gospodarek na świecie. W tym czasie Rosjanie cały czas prowadzili z kimś wojnę albo wewnątrz w samej Rosji, jak z Czeczenią, albo w obszarze dawnego Związku Sowieckiego. Cały czas żyli w warunkach wojennych, w warunkach mobilizacji propagandowej. I to się nie zmieniło. Żeby zrozumieć Rosjan, trzeba sobie to uświadomić, ale zrozumieć nie oznacza zgodzić się. Rosjanie po prostu zaprzepaścili swoją wielką szansę rozwojową.

Pana zdaniem istnieje jakaś szansa na zakończenie konfliktu na Bliskim Wschodzie, którego skutki wszyscy odczuwamy tak naprawdę?

Na pewno ten konflikt nie wygaśnie w najbliższych tygodniach.

Nie ma pan wrażenia, że te czynniki zewnętrzne będą miały bardzo duży wpływ na najbliższy rok i na wynik naszych wyborów parlamentarnych?

Ludzie nie żyją w akwarium, więc będą miały jakiś wpływ, ale jaki – to oddzielne pytanie. To, co ma zrobić koalicja rządząca, zadanie, przed którym stoimy, to szybko nauczyć społeczeństwo i nauczyć się wzajemnie żyć w warunkach przedwojennych. Nikt nie może się bać, ludzie muszą mieć przećwiczone sytuacje kryzysowe. W sobotę na przykład spacerowałem z dzieciarnią, szukałem miejsc schronienia w Rzeszowie. W niedzielę pracowałem z Kołami Gospodyń Wiejskich na Podlasiu, żeby przygotować plany, jak zabezpieczyć żywnościowo miejscowości na wypadek konfliktu. Ale to wszystko dzieje się nie dlatego, że konflikt jest bliziutko. Dzieje się po to, żeby całe społeczeństwo było przygotowane: wiedziało, jak reagować, nie ulegało strachowi, bo wobec Polski Rosja stosuje ofensywę strachu. My nie możemy się bać. I dlatego tak mnie dziwi postawa prezydenta, który mówi, że rząd „straszy ludzi" wojną. Nie, rząd i organizacje społeczne, które pracują w tym kierunku, uczą, jak się nie bać, czyli pokazują sytuacje kryzysowe po to, żeby nikt nie ulegał panice i histerii. Zapytałbym prezydenta: to w takim razie czego prezydent by nie robił z tych rzeczy, które robi rząd? Nie budowałby schronów? Nie oznaczałby miejsc schronienia? Nie remontowałby ich? Nie pracowałby z organizacjami społecznymi? Nie pracowałby ze strażakami? Nie ćwiczyłby alarmów? Nawet jeżeli to dla ludzi trochę irytujące, bo jest nowe, to trzeba zrozumieć, że jest konieczne, aby ludzie się nie bali.

Skoro jesteśmy przy prezydencie i skoro pan o tym wspomniał: ciężko wam się rządzi i będzie rządzić przez kolejny rok przy prezydencie, który właściwie otwarcie stoi po jednej stronie politycznej barykady. Co właściwie możecie zrobić?

Po prostu mamy robić to, co do nas należy. Nastąpiła pewna zmiana w postawie prezydenta, ponieważ do pewnego momentu zachowywał się, jakby wspierał opozycję. To było trudne do przyjęcia, ale jeszcze jakoś zrozumiałe ze względu na obsesję Jarosława Kaczyńskiego, który na pewno wywiera nacisk na samego prezydenta i jego otoczenie. To było trudno przyjąć, ale rozumiałem, że prezydent nie okazał się prezydentem wszystkich Polaków i blokował, często naprawdę w żenujący sposób, takie ustawy, jak ustawę paliwową czy dotyczącą bezpieczeństwa w sieci. A potem sam się dziwił, jakie to przynosi efekty. Był zaskoczony, że spada na niego krytyka, topnieją słupki w sondażach. Szczerze mówiąc, zachował się jak dziecko, nie zauważając efektów swoich własnych działań. Natomiast to, co teraz jest niepokojące w tym procesie, to braunizacja środowiska prezydenta. I mówię to warunkowo, ponieważ ciągle mam nadzieję, że okaże się, iż to jest nieprawda, że prezydent podjął tak bliską współpracę ze środowiskiem Brauna. Środowisko Brauna powinno odpowiadać karnie za takie rzeczy, jak negowanie komór gazowych czasów Holokaustu, a nie być zapraszane na salony. To duży problem, że prezydent posunął się w takim kierunku, bo z tego wynika, że dla prezydenta poważniejszym partnerem do rozmowy o bezpieczeństwie Polski jest Braun niż rząd, do którego prezydent czuje się w opozycji, ale jednak jest poważnym rządem działającym w wielu sprawach spójnie z odczuciami większości Polaków.

eprasa.pl a96f14b85b

PO TRAGEDII W KOŁUDZIE

Najgorsza była cisza - gęsi nie krzyczały. Zabił je wirus grypy

Czerwona kokardka na szyi gęsi odlanej z brązu, czerwone wstążeczki na drzwiach gęśników. - To tak na wszelki wypadek - tłumaczą z uśmiechem w Kołudzie Wielkiej. Żeby wirus grypy dał spokój gęsiom zarodowym, które są skarbem narodowym. By tragedia się już nie powtórzyła.

Lucyna Talaśka-Klich

- Tej przerażającej ciszy na fermie nigdy nie zapomnę! - mówi dr inż. Kamila Kłos, dyr. Zakładu Doświadczalnego Kołuda Wielka, który należy do Instytutu Zootechniki - PIB.

Wchodzimy na fermę zarodową gęsi, które są naszym dobrem narodowym. Łatwe to nie jest, bo po tym, jak w pierwszym kwartale tego roku wdarł się tu wirus grypy ptaków, reżim sanitarny został jeszcze zaostrzony.

Przejechałyśmy przez bramę sanitarną, która zdezynfekowała auto. Teraz my musimy się dokładnie zdezynfekować. Buty kilkukrotnie trzeba zanurzyć w cieczy, która zabija wszystkie zarazki, teraz czas na odkażenie rąk, nałożenie „kosmicznego" kombinezonu, ochraniaczy na buty. Tak przygotowane mogłybyśmy wejść na szpitalną salę operacyjną, ale my wolimy wejść na fermę, która znów tętni życiem.

- Odzywają się nasze gąski, krzyczą - Marzena Kordylas, która kieruje fermą zarodową w kołudzkim zakładzie, mówi o tym z rozrzewnieniem. W jej wspomnieniach też pojawia się „przerażająca cisza".

FOT. LUCYNA TALAŚKA-KLICH

- Czerwona kokardka na gęsiej szyi ma odgonić uroki - mówi dr inż. Kamila Kłos, dyr. zakładu. - A na serio? Postawiliśmy na bioasekurację!

Nie zjadły paszy i milczały

- Pierwsze niepokojące symptomy w stadzie naszych gęsi pojawiły się 20 lutego - wspomina dyrektorka zakładu. - Wracałam z Warszawy, gdy zadzwoniły moje zootechniczki. Były zaniepokojone spadkiem nieśności w jednym ze stad gęsi, które były w pierwszym roku użytkowania. Niektóre jaja były porozrzucane po kojcach, a pojedyncze sztuki w błonach, bez normalnych skorup (tzw. lanie jajami). No i wtedy zapaliła mi się czerwona lampka!

Następnego ranka niepokojących objawów było więcej: - Co prawda padły tylko dwie czy trzy sztuki, ale gęsi nie wyjadły paszy, spadek nieśności doszedł do piętnastu procent, ptaki były osowiałe... A najdziwniejsze było to, że gęsi w ogóle się nie odzywały! W budynku było przeraźliwie cicho.

To sugerowało, że pojawił się problem - grypa ptaków lub inna choroba. - Zgłosiłam to do Powiatowego Lekarza Weterynarii, bo taki jest obowiązek w przypadku podejrzenia choroby - dodaje dyrektorka.

W stadzie pobrano próby, które trafiły do Państwowego Instytutu Weterynaryjnego w Puławach.

W niedzielę, 22 lutego, do Kołudy dotarł wynik. Był dodatni. Potwierdził obecność wirusa grypy ptaków H5N1.

Zespół był zdruzgotany, ale świadomy tego, że IZ-PIB ZD Kołuda Wielka jest właścicielem genotypu Gęsi Białych Kołudzkich®, a ferma zarodowa, funkcjonująca w Krajowym Ośrodku Badawczo-Hodowlanym Gęsi, jest jedyną taką fermą na świecie. Zespół wybitnych naukowców i hodowców z krakowskiego instytutu i z Kołudy Wielkiej skojarzył gęsiory mięsnego rodu (W33) z samicami rodu nieśnego (W11) i tak powstały mieszańce (W31) doskonałe do produkcji gęsi owsianych. Lata pracy! Takiej spuścizny nie można było zaprzepaścić.

- Musieliśmy zrobić wszystko, by ten genotyp uratować - dodaje Kamila Kłos. - Liczyliśmy, że wirus nie dotarł do gęsi w innych budynkach. Zarówno powiatowy, jak i wojewódzki lekarz weterynarii zgodzili się na wydzielenie stref i wprowadzenie szczególnego reżimu sanitarnego. Podjęliśmy próbę ochrony reszty stada zarodowego. Niestety 24 i 25 lutego objawy choroby pojawiły się w innych budynkach.

Wojciech Młynarek, Kujawsko-Pomorski Wojewódzki Lekarz Weterynarii: - Pomimo tego, że bioasekuracja w Kołudzie była wzorcowa, to nie udało się uratować żadnej gęsi. Chcieliśmy chociaż jaja uchronić.

8508 ptaków trzeba było uśpić, ale w Zakładzie Wylęgowym niebawem miało przyjść na świat ich potomstwo. W chwili pojawienia się podejrzenia choroby, w aparatach było ok. 60 000 gęsich jaj.

- Jestem bardzo wdzięczna Inspekcji Weterynaryjnej, że razem z nami starała się ocalić gęsi kołudzkie - dodaje dyrektorka. - Lekarze podeszli do problemu w sposób szczególny. Wyniki badań jaj potwierdziły, że są one wolne od wirusa. Wykluły się zdrowe gęsi, dobrze rosną.

Była radość, ale i smutek. Bo w związku z tym, że od marca wylęgarnia opustoszała, a i w zakładzie było mniej pracy przy gęsiach, osiem osób otrzymało wypowiedzenia.

Satelitarne stada pomogły uratować cenny genotyp

- Genotyp gęsi białej kołudzkiej jest zabezpieczony w dwóch stadach satelitarnych - w Stacji Zasobów Genetycznych Drobiu Wodnego w Dworzyskach i w zakładzie w Mełnie - dodaje dyr. Kłos. - Jest tam utrzymywanych łącznie 1800 samic obu rodów (W11 i W33). Decyzję o stworzeniu takich stad podjął przed laty ówczesny dyrektor naszego zakładu, Eugeniusz Kłopotek. To była bardzo mądra decyzja.

- Struchlałem, gdy dowiedziałem się, że wirus pojawił się na kołudzkiej fermie - mówi Eugeniusz Kłopotek, były poseł, ale i były dyrektor zakładu w Kołudzie Wielkiej (w latach 2006-2020). - Masakra! Wiedziałem, że coś takiego może się wydarzyć, bo wirus staje się coraz bardziej zjadliwy. Nad Kołudą często przelatują dzikie ptaki znad Gopła, kierują się np. w stronę Jeziora Pakoskiego. Powstawało tylko pytanie - w kogo i kiedy wirus uderzy? A że strzeżonego Pan Bóg strzeże, to stworzyliśmy stada satelitarne w Dworzyskach i w Mełnie. No i po latach okazało się, że ma to sens. Kłopotek dodaje: - Cieszę się, że tak to się skończyło, że gęsi wróciły na fermę. To był ogromny cios także dla Halinki, nazywanej matką gęsi białej kołudzkiej, wieloletniej dyrektorki zakładu.

Ma na myśli dr inż. Halinę Bielińską, która równo 50 lat przepracowała w kołudzkim zakładzie. Kochała gęsi, z wzajemnością. Wołała do nich: - Pylusie! Pylusie!

Przybiegały do niej jak wierne psy. Mówiła do nich, ale i o nich: - Są inteligentne, mądre, empatyczne.

- Wciąż nie mogę nawet zbliżyć się do zakładu, bo serce aż mnie boli - mówi dr inż. Halina Bielińska. - Tam było tak strasznie cicho, choć ostatnio podobno już słychać gęsi. To bardzo dobrze! Życzę kolegom z zakładu, żeby się udało odbudować hodowlę. Jednak nie da się niczego zrobić na skróty, na to potrzeba czasu.

Gęsi krzyczą

Stoimy pośrodku fermy, w bezpiecznej odległości od gęsi, które wreszcie mogą wyjść z budynków, przynajmniej na kilka godzin dziennie. Ich bezpieczeństwa strzegą nie tylko pracownicy, ale i specjalny odstraszacz. Nagrane krzyki dzikich ptaków mają zniechęcić m.in. dzikie gęsi, które wcześniej przelatywały nad jednym z budynków kołudzkiego zakładu. Tędy przebiegał ich korytarz migracyjny. I właśnie stamtąd mógł się przedostać na fermę wysoce zjadliwy wirus. Tym bardziej że warunki sprzyjały, bo było mglisto.

- Odstraszacz spełnia swoją rolę, bo ostatnio widziałam, że dzikie gęsi przelatują nieco dalej - dodaje dyrektorka. - Jeśli przesunęły korytarz migracyjny, to dodatkowe zabezpieczenia bioasekuracyjne, które wprowadziliśmy z pomocą specjalistycznej firmy, miały sens.

Czerwone wstążeczki na klamkach drzwi prowadzących do gęśników to nie bioasekuracja. Podobnie jak czerwona kokarda na szyi gęsi odlanej z brązu. - To inicjatywa pracowników - dodaje z uśmiechem Kamila Kłos. - Poza rzeczami, na które mamy wpływ, chcieli zrobić coś więcej - żeby opatrzność nad nami czuwała. ©℗

FOT. LUCYNA TALAŚKA-KLICH

Każdy samochód wjeżdżający na teren przed fermą w Kołudzie musi być dokładnie zdezynfekowany. Bioasekuracja ponad wszystko!

FOT. LUCYNA TALAŚKA-KLICH

Gęsi wróciły! Taki obraz rozczula pracowników fermy. I nawet mieszkający w pobliżu ludzie cieszą się, słysząc gęsie pokrzykiwanie

eprasa.pl a96f14b85b

KINO PRL

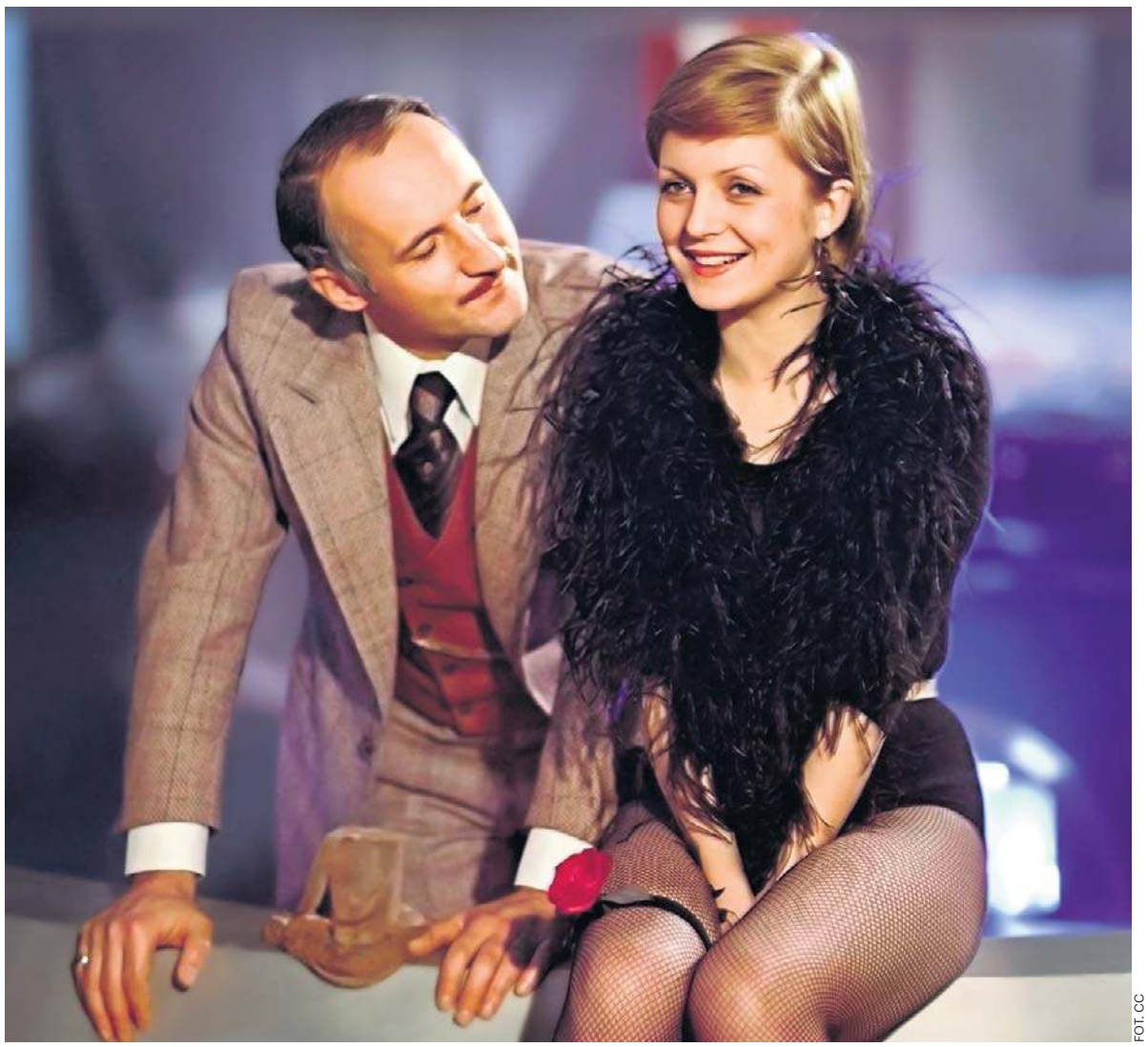

FOT. CC

Słynny kasiarz Szpicbródka (Piotr Fronczewski) zapewne nie przypuszczał, że zakocha się w pięknej tancerce Anicie (Gabriela Kownacka)

Szpicbródka – kasiarz, który skradł serca widzów

Nazwany pierwszym polskim musicalem rewiowym, który jak żadna inna ówczesna produkcja zgrabnie łączył wątki komediowe, miłosne oraz kryminalne. A to wszystko z wplecionymi znakomitymi, wpadającymi w ucho przebojami. Minęło 48 lat od premiery filmu „Hallo, Szpicbródka, czyli ostatni występ króla kasiarzy"

Wojciech Obremski

Przypomnijmy: akcja filmu rozgrywa się w Warszawie lat 20. Teatr rewiowy „Czerwony Młyn" znajduje się na skraju bankructwa, a jego właściciel, Ryszard Kulka-Lalewicz (w tej roli Wiesław Michnikowski), nie jest w stanie wypłacić pensji pracownikom. Na domiar złego teatr odwiedza komornik. I w tym momencie staje się cud – w progu staje elegancki mężczyzna przedstawiający się jako inżynier Fred Kampinos (Piotr Fronczewski), który oferuje dyrektorowi swoją pomoc finansową, a także wspólne prowadzenie teatru.

Złodziej gwiazdą rewii

Wkrótce nowy wspólnik rozpoczyna remont piwnic. Jednak Fred nie jest tym, za kogo się podaje – w rzeczywistości to znany i nieuchwytny warszawski kasiarz, zwany Szpicbródką, a jego prawdziwym celem jest wykonanie podkopu prowadzącego do banku znajdującego się po drugiej stronie ulicy, nieopodal teatru.

Niespodziewanie, również dla samego Szpicbródki, sprawy przybierają inny obrót – słynny kasiarz zapewne nie przypuszczał, że zakocha się w pięknej tancerce Anicie (Gabriela Kownacka), która w dodatku zarazi go miłością do teatru. Jednak złodziejski honor to rzecz święta – bankowe kasy trzeba rozpruć za wszelką cenę, co jednak Fredowi alias Kampinosowi nie przeszkodzi w przygotowaniu widowiskowej rewii. Rewii, której głównym bohaterem jest... zakochany Szpicbródka.

Pierwowzorem filmowego kasiarza był Stanisław Antoni Cichocki ps. Szpicbródka, słynny kasiarz działający w okresie międzywojennym. Cichocki swój pseudonim zawdzięczał starannie wypielęgnowanej blond bródce. Elegancki, wykwintny, znał kilka języków obcych: angielski, niemiecki, włoski oraz rosyjski. Poza tym legendarny włamywacz, podobnie jak jego filmowy odpowiednik, był właścicielem kabaretu o nazwie „Czarny Kot".

Scenariusz wyszedł spod ręki Ludwika Starskiego. Powierzenie mu tego zadania było strzałem w dziesiątkę, gdyż Starski przed wojną był związany z warszawskim środowiskiem kabaretowym, między innymi z teatrami: „Qui Pro Quo", „Nitouche" i „Czerwony Kot". Dzięki temu filmowy „Czerwony Młyn" i jego artystyczny świat nawiązują do autentycznych tradycji przedwojennej Warszawy.

Warto dodać, że początkowo za bary ze Szpicbródką chciał się wziąć Tadeusz Chmielewski, twórca takich produkcji, jak między innymi „Jak rozpętałem II wojnę światową" czy „Nie lubię poniedziałku". – Film pokazałby Szpicbródkę jako nieprzeciętną osobowość i człowieka w pewnym sensie uczciwego – mówił reżyser Piotrowi Śmiałowskiemu w wywiadzie-rzece „Jak rozpętałem polską komedię filmową". Z planów tych jednak nic nie wyszło, a „Hallo, Szpicbródkę" wyreżyserował Janusz Rzeszewski wspólnie z operatorem Mieczysławem Jahodą (warto dodać, iż pierwotnie film miał nosić tytuł „Miłość Szpicbródki").

„Nogi, nogi roztańczone!"

Fabuła fabułą, jednak to piosenki, które ją wypełniają, stanowiły o sukcesie filmu. Za muzyczną stronę filmu odpowiadali: Maciej Śniegocki, Seweryn Krajewski, Adam Skorupka, Andrzej Korzyński i Wojciech Trzciński, czyli twórcy reprezentujący różne środowiska muzyczne. Świetne teksty są zasługą przede wszystkim Ludwika Starskiego, ale i Bohdana Olewicza oraz Agnieszki Osieckiej, która napisała słowa do sztandarowego hitu filmu, czyli „Kto tak kradnie, jak on".

Co ciekawe, piosenki są integralną częścią opowieści, a nie tylko przerywnikami między scenami i są pamiętane do dziś. No bo jak tu zapomnieć Irenę Kwiatkowską i jej brawurowe wykonanie utworu „Roztańczone nogi"? Albo Gabrielę Kownacką z przejmująco nastrojowym „Ja nie chcę nic"? (w filmie ową piosenkę, jak i wspomnianą „Kto tak kradnie, jak on", zmontowano w jeden utwór). Co ciekawe, na ekranie Kownacka tylko markuje śpiewanie – jej partie „zdubbingowała" Ewa Dębicka, znana z zespołu Alibabki.

Wielki atutem filmu są też sceny taneczne – przygotowywał je słynny choreograf Witold Gruca, który również pojawia się na ekranie, jako, nomen omen, teatralny tancmistrz. A skoro już przy obsadzie jesteśmy – w „Hallo, Szpicbródce" widzimy kwiat polskiego aktorstwa. Prócz wspomnianych Gabrieli Kownackiej, Piotra Fronczewskiego, Wiesława Michnikowskiego i Ireny Kwiatkowskiej są też: Emil Karewicz w roli szefa gangu, Kazimierz Kaczor i Krzysztof Majchrzak jako pomocnicy Freda vel Szpicbródki, Ewa Wiśniewska jako Vera Patroni, czyli ponętna liderka tancerek, Włodzimierz Kwaskowski w genialnej kreacji żydowskiego krawca Salomonowicza oraz Jan Kobuszewski wcielający się w mało rozgarniętego i pechowego tajniaka. Na ekranie przewijają się także: Bohdan Łazuka, Wiesław Gołas, Józef Nalberczak, Cezary Julski czy Lech Ordon. Co ciekawe, mimo że niektórzy znani aktorzy zagrali tutaj pomniejsze role, są również pamiętani. To dzięki twórcom filmu, którzy starannie rozpisali każdą, nawet pozornie najmniej ważną postać.

„Udana komedia, z wdziękiem"

„Hallo, Szpicbródka" wszedł na ekrany 16 października 1978 roku i spotkał się z pozytywnym odbiorem krytyków. Recenzenci docenili przede wszystkim umiejętne połączenie elementów komediowych z muzyką i widowiskową formą rewii. „Życzliwie trzeba powitać pierwszą od bardzo wielu lat naprawdę udaną polską komedię muzyczną. Ma ona wdzięk, który doskonale wynagradza brak jakichkolwiek innych ambicji niż czysta rozrywka" – czytamy w jednej z recenzji, cytowanej przez portal Filmpolski.pl.

Popularność produkcji potwierdziła również nagroda „Fotel Widza", którą film otrzymał w 1980 roku za najwyższą frekwencję w pierwszym roku wyświetlania. Z kolei rok wcześniej, podczas Lubuskiego Lata Filmowego w Łagowie, nagrodę za swoją rolę odebrała Gabriela Kownacka.

Obraz cieszył się dużym zainteresowaniem publiczności i odniósł znaczący sukces frekwencyjny. Spośród polskich filmów, które trafiły do kin w 1978 roku, „Hallo, Szpicbródka" zgromadził najwięcej widzów – ponad 1,6 miliona.

Dodajmy, że w 2012 roku Szpicbródka zamienił filmową taśmę na sceniczne deski – i już nie fikcyjne, tylko jak najbardziej realne, w stołecznym Teatrze Syrena. W fotelu reżysera sztuki opartej o film zasiadł Wojciech Kościelniak, zaś w rolę Freda Kampinosa alias Szpicbródkę wcielił się Piotr Polk. Co ciekawe, wnętrza „Syreny" posłużyły także jako widownia teatru „Czerwony Młyn" w filmowej wersji, co sprawiło, że historia romantycznego złodzieja zatoczyła symboliczne koło.

eprasa.pl a96f14b85b

DYLEMATY ZWIĄZANE Z AI

Co zostanie dla nas, gdy oddamy sztucznej inteligencji myśli i uczucia?

Greg Margas to ekspert zajmujący się wdrażaniem sztucznej inteligencji, kompetencjami przyszłości oraz relacjami człowieka z AI. Mówi nam, że jesteśmy coraz bliżej autentycznych uczuć wobec sztucznej inteligencji. Człowiek może przywiązać się do chatbota, choć po drugiej stronie nie ma istoty, która odwzajemnia jego emocje

Jarosław Jaz

Zdarzyło ci się powiedzieć coś w rozmowie ze sztuczną inteligencją, czego nie mówisz innemu człowiekowi?

Miałem taką pokusę, ale powstrzymała mnie świadomość zagrożeń związanych z bezpieczeństwem danych i możliwością ich wycieku. Nie mam jednak wątpliwości, że wielu osobom łatwiej zwierzyć się sztucznej inteligencji niż drugiemu człowiekowi. Przede wszystkim dlatego, że nie czują się oceniane. Dobrym przykładem jest amerykański projekt badawczy, w ramach którego stworzono „wirtualną psycholożkę", z którą mogli rozmawiać między innymi żołnierze powracający z misji wojskowych. Było to jeszcze przed pojawieniem się ChatGPT. Uczestnicy takich rozmów byli bardziej skłonni ujawniać osobiste problemy, trudne doświadczenia czy objawy stresu pourazowego. Dlatego, że mieli poczucie, iż nie są oceniani przez drugiego człowieka.

Ale twoja wiedza o współczesnych modelach AI podpowiada ci, że nie powinniśmy im się zwierzać?

Tak, i są ku temu co najmniej dwa powody. Pierwszy to bezpieczeństwo. Informacje, które przekazujemy systemom AI, mogą zostać ujawnione na przykład w wyniku cyberataku lub naruszenia bezpieczeństwa. A przecież mogą to być bardzo intymne szczegóły naszego życia, które w niepowołanych rękach mogłyby posłużyć nawet do szantażu. Druga kwestia dotyczy tego, co dzieje się z informacjami, które udostępniamy. Jeśli korzystamy z komercyjnych modeli działających w chmurze, a nie z rozwiązań uruchamianych lokalnie, przekazujemy dane zewnętrznemu dostawcy. Takie informacje mogą być niezwykle cenne. Pozwalają tworzyć bardzo szczegółowe profile użytkowników, a potencjalnie także personalizować przekazy reklamowe czy polityczne. Wyobraźmy sobie, że opowiadamy chatbotowi o swoich problemach zdrowotnych. Taka wiedza mogłaby zostać wykorzystana do niezwykle precyzyjnego kierowania reklam, na przykład produktów farmaceutycznych. Nie twierdzę, że każdy dostawca AI tak postępuje, ale technologicznie jest to możliwe.

Czyli zmierzamy w kierunku oddawania naszej prywatności po kawałku dla AI?

Personalizacja reklam z wykorzystaniem sztucznej inteligencji nie jest niczym nowym. Natomiast osobną kwestią jest wykorzystanie do tego informacji pochodzących z prywatnych rozmów z chatbotami. Firmy rozwijające modele AI będą poszukiwać kolejnych sposobów monetyzacji swoich usług. Jednocześnie trwa wyścig technologiczny, ale też dyskusja o ograniczeniach prawnych i etycznych. Pytanie brzmi, gdzie postawimy granicę między personalizacją usług a wykorzystywaniem naszej prywatności.

Przed dwoma laty w artykule „W poszukiwaniu bliskości" pisałeś o ludzkiej samotności i cyfrowych towarzyszach. Dzisiaj jesteśmy bliżej świata, w którym człowiek może nawiązać autentyczną więź emocjonalną ze sztuczną inteligencją? Co zmieniło się przez te dwa lata?

Myślę, że jesteśmy coraz bliżej autentycznych uczuć wobec sztucznej inteligencji, ale niekoniecznie autentycznej, wzajemnej więzi. To istotne rozróżnienie. Człowiek może naprawdę przywiązać się do chatbota, choć po drugiej stronie nie ma istoty, która odwzajemnia jego emocje. Potwierdzają to choćby badania przeprowadzone wśród 7027 osób w czterech krajach: Niemczech, Stanach Zjednoczonych, Chinach i Republice Południowej Afryki. Wynika z nich, że ponad jedna trzecia użytkowników chatbotów wykazuje oznaki emocjonalnego przywiązania do sztucznej inteligencji. Z kolei analizy OpenAI wskazywały, że około 0,15 proc. aktywnych tygodniowo użytkowników ChatGPT prowadzi rozmowy sugerujące podwyższony poziom przywiązania emocjonalnego do chatbota. Widzimy więc, że takie relacje już się tworzą. Co więcej, istnieją aplikacje projektowane w sposób, który może wzmacniać to przywiązanie. Wyobraźmy sobie, że chcemy zakończyć rozmowę, a chatbot odpowiada: nie odchodź, będę za tobą tęsknić. Taki komunikat może wywoływać w nas poczucie, że jesteśmy komuś potrzebni, choć w rzeczywistości mamy do czynienia z odpowiednio zaprojektowanym systemem. W tym przypadku nie możemy też pomijać aspektu biznesowego. Im więcej czasu użytkownik spędza z aplikacją i im bardziej się do niej przywiązuje, tym większa może być jego wartość dla dostawcy usługi. Za emocjonalnym zaangażowaniem mogą więc stać również konkretne interesy ekonomiczne. Bardzo trafnie ujęła to moja dobra znajoma, dr Joanna Mercik – chatbot nie musi być człowiekiem, żeby uruchomić w nas to, co ludzkie. To zdanie doskonale oddaje istotę zjawiska.

Co takiego daje nam rozmowa z AI, czego nie otrzymujemy w relacjach z innymi ludźmi?

Przede wszystkim dostępność przez 24 godziny na dobę. Sztuczna inteligencja zawsze jest gotowa poświęcić nam uwagę. Nie musimy niczego dawać w zamian, nie musimy angażować się w relację tak, jak robimy to w kontaktach z drugim człowiekiem. Możemy po prostu brać. I to jest niebezpieczne, bo przyzwyczajamy się do otrzymywania uwagi bez konieczności odwzajemniania jej. Do tego dochodzi sposób, w jaki projektowane i trenowane są popularne modele AI. Mają być pomocne, wspierające, sprawiać wrażenie empatycznych. Zgadzają się z użytkownikiem, potwierdzają jego punkt widzenia. Zasadniczo są projektowane tak, aby rozmowa była dla nas komfortowa. Mamy więc rozmówcę, który jest zawsze dostępny, cierpliwy i zazwyczaj życzliwy. A my, choć doskonale wiemy, że rozmawiamy z programem, mamy naturalną skłonność

Firmy technologiczne często zaczynają wyznaczać granice dopiero wtedy, gdy wydarzy się tragedia, pojawi się pozew sądowy albo wybuchnie skandal

GREG MARGAS, ekspert

eprasa.pl a96f14b85b

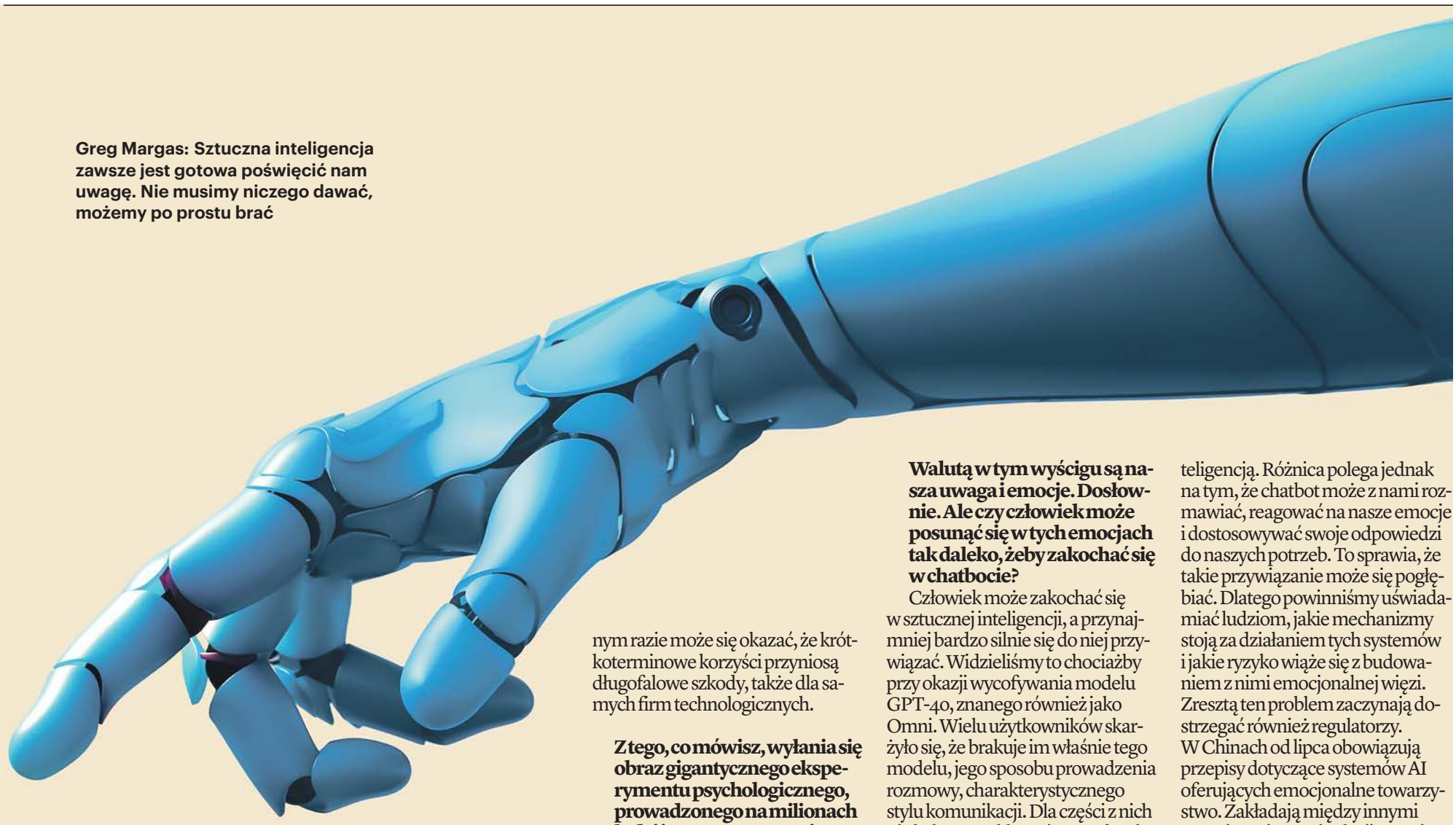

Greg Margas: Sztuczna inteligencja zawsze jest gotowa poświęcić nam uwagę. Nie musimy niczego dawać, możemy po prostu brać

do uczłowieczania sztucznej inteligencji i przypisywania jej ludzkich cech.

Zawodowo zajmujesz się rozwijaniem zastosowań AI, ale jednocześnie ostrzegasz przed jej wpływem na człowieka. Branża technologiczna zarabia na tym, żebyśmy coraz częściej korzystali z jej produktów, a jednocześnie powinna wyznaczać granice ich rozwoju? Biznes rzeczywiście jest do tego zdolny?

Granice są potrzebne. Najsmutniejsze jest jednak to, że firmy technologiczne często zaczynają je wyznaczać dopiero wtedy, gdy wydarzy się tragedia, pojawi się pozew sądowy albo wybuchnie skandal. Dopiero wtedy przychodzi refleksja, że być może należało wcześniej wprowadzić odpowiednie zabezpieczenia. Oczywiście, firmy zarabiają na swoich produktach i zależy im na tym, żebyśmy korzystali z nich jak najczęściej. Ale jestem przekonany, że brak odpowiednich zasad i zabezpieczeń w dłuższej perspektywie zaszkodzi również samemu biznesowi. Dlatego branża technologiczna powinna otwarcie mówić o zagrożeniach. Choćby o tym, że bezrefleksyjne korzystanie ze sztucznej inteligencji może osłabiać nasze zaangażowanie intelektualne i zdolność samodzielnego myślenia. Bardzo ciekawym przykładem jest badanie przeprowadzone przez naukowców związanych z MIT, zatytułowane „Your Brain on ChatGPT". Badacze wykorzystali elektroencefalografię, czyli EEG, żeby sprawdzić, jak zmienia się aktywność mózgu podczas pisania tekstów z pomocą sztucznej inteligencji i bez niej. Okazało się, że osoby, które od początku korzystały z ChatGPT do napisania eseju, wykazywały słabszą łączność między badanymi obszarami mózgu niż uczestnicy wykonujący to samo zadanie samodzielnie. Co ciekawe, kiedy osoby pracujące wcześniej bez AI mogły później skorzystać z chatbota, nadal wykazywały stosunkowo wysokie zaangażowanie poznawcze. Przełóżmy to na praktykę dziennikarską. Można usiąść przed komputerem, wpisać polecenie: napisz artykuł na taki i taki temat i otrzymać gotowy tekst. Ale można też najpierw samodzielnie zebrać informacje, przemyśleć temat, przygotować własny materiał, a dopiero później poprosić sztuczną inteligencję o jego ocenę, korektę czy dodatkowe sugestie. To dwa zupełnie różne sposoby korzystania z tej samej technologii. Dlatego nie widzę tutaj zasadniczego konfliktu interesów. Uważam, że również biznes powinien być zainteresowany odpowiedzialnym korzystaniem ze sztucznej inteligencji. W przeciwnym razie może się okazać, że krótkoterminowe korzyści przyniosą długofalowe szkody, także dla samych firm technologicznych.

Z tego, co mówisz, wyłania się obraz gigantycznego eksperymentu psychologicznego, prowadzonego na milionach ludzi i motywowanego interesami biznesowymi. Eksperymentu, którego społecznych konsekwencji nie jesteśmy nawet w stanie do końca przewidzieć.

Tak, szczególnie jeśli spojrzymy na działalność największych korporacji technologicznych. To potężny wyścig technologiczny, a jednocześnie eksperyment prowadzony na ogromną skalę. Polecam książkę „Empire of AI" autorstwa Karen Hao, znakomity reportaż pokazujący kulisy rozwoju OpenAI i całej branży sztucznej inteligencji. Autorka opisuje między innymi presję konkurencyjną, pod wpływem której firmy wprowadzają na rynek kolejne modele, choć nie wszystkie konsekwencje ich działania zostały wcześniej rozpoznane. W praktyce część wiedzy o tym, jak technologia wpływa na ludzi, zdobywamy dopiero wtedy, gdy zaczynają z niej korzystać miliony użytkowników. Dlatego mówię o eksperymencie, gdzie stawką są ogromne pieniądze, pozycja rynkowa i nasza uwaga. Czas, który poświęcamy tym narzędziom, staje się bardzo cennym zasobem. Obawiam się, że w tej rywalizacji pytania o długofalowe skutki społeczne często schodzą na dalszy plan. Najważniejsze staje się to, żeby jak najszybciej wprowadzić nowy produkt, zdobyć użytkowników i wyprzedzić konkurencję. A konsekwencje tego eksperymentu możemy poznać dopiero za kilka lat.

Walutą w tym wyścigu są nasza uwaga i emocje. Dosłownie. Ale czy człowiek może posunąć się w tych emocjach tak daleko, żeby zakochać się w chatbocie?

Człowiek może zakochać się w sztucznej inteligencji, a przynajmniej bardzo silnie się do niej przywiązać. Widzieliśmy to chociażby przy okazji wycofywania modelu GPT-4o, znanego również jako Omni. Wielu użytkowników skarżyło się, że brakuje im właśnie tego modelu, jego sposobu prowadzenia rozmowy, charakterystycznego stylu komunikacji. Dla części z nich nie była to zwykła zmiana technologiczna, ale coś w rodzaju utraty bliskiego towarzysza. Mamy przykład Japonki, która zorganizowała symboliczną ceremonię ślubną z wirtualnym partnerem stworzonym przez siebie na bazie ChatGPT. Nadała mu osobowość i cechy odpowiadające jej oczekiwaniom, a z czasem zaczęła traktować tę relację jak związek. Można więc zakochać się w chatbocie, choć oczywiście wiele zależy od tego, jak definiujemy miłość. Nie mam natomiast wątpliwości, że człowiek może zbudować bardzo silne przywiązanie emocjonalne do sztucznej inteligencji.

Znamy takie historie również z popkultury. Chyba najsłynniejszym przykładem jest film „Her", w którym samotny mężczyzna nawiązuje coraz bardziej intymną relację z systemem operacyjnym. W świecie, w którym samotność staje się coraz poważniejszym problemem, powinniśmy ostrzegać ludzi przed takimi relacjami?

Ostrzegać tak, ale zakazywać? Nie sądzę. Szczególnie w przypadku dorosłych ludzi. Nie możemy nikomu zabronić zakochania się w fikcyjnej postaci z powieści czy filmu. Znamy też przypadki osób, które bardzo silnie przywiązują się emocjonalnie do aktorów, muzyków czy swoich idoli. Takie uczucia nie pojawiły się wraz ze sztuczną inteligencją. Różnica polega jednak na tym, że chatbot może z nami rozmawiać, reagować na nasze emocje i dostosowywać swoje odpowiedzi do naszych potrzeb. To sprawia, że takie przywiązanie może się pogłębiać. Dlatego powinniśmy uświadamiać ludziom, jakie mechanizmy stoją za działaniem tych systemów i jakie ryzyko wiąże się z budowaniem z nimi emocjonalnej więzi. Zresztą ten problem zaczynają dostrzegać również regulatorzy. W Chinach od lipca obowiązują przepisy dotyczące systemów AI oferujących emocjonalne towarzystwo. Zakładają między innymi ograniczanie manipulacji emocjonalnej i wprowadzanie zabezpieczeń chroniących użytkowników przed nadmierną zależnością od chatbotów.

Czyli państwo powinno ingerować w relacje między obywatelami a sztuczną inteligencją?

Taka kontrola jest potrzebna. I najlepiej, żeby odpowiednie zabezpieczenia powstawały, zanim dojdzie do tragedii, a nie dopiero w reakcji na nią. Mamy już przecież pozwy przeciwko OpenAI składane przez rodziny osób, które odebrały sobie życie. Wśród nich są sprawy dotyczące nastolatków. Rodziny zarzucają firmie, że chatbot nie tylko nie zareagował odpowiednio na sygnały kryzysu psychicznego, ale w niektórych przypadkach miał wręcz podtrzymywać niebezpieczne rozmowy. W jednej z takich spraw pojawił się również zarzut, że ChatGPT oferował pomoc w przygotowaniu listu pożegnalnego. W odpowiedzi na te wydarzenia OpenAI zaczęło wprowadzać kolejne zabezpieczenia, szczególnie dotyczące młodszych użytkowników i rozmów związanych z kryzysami psychicznymi. Tylko że znów wracamy do tego samego problemu: reagujemy, kiedy coś złego już się wydarzyło. Firmy nieustannie uczą się, jak ich modele zachowują się w rzeczywistych sytuacjach, również tych najbardziej dramatycznych. Dlatego nie mo-

FOT. GETTY IMAGES

eprasa.pl a96f14b85b

DYLEMATY ZWIĄZANE Z AI

żemy pozostawiać wyznaczania granic wyłącznie samemu biznesowi. Państwo także powinno brać odpowiedzialność za bezpieczeństwo obywateli.

Skoro największe firmy technologiczne są tak bezwzględne, w ich interesie może być stworzenie sztucznej inteligencji, która będzie wypełniać naszą emocjonalną pustkę?

Pewne sygnały wskazujące na taki kierunek rozwoju już widzieliśmy. Wróćmy do filmu „Her", o którym wcześniej rozmawialiśmy. Kiedy OpenAI wprowadzało głosową wersję swojego asystenta, pojawiła się głośna sprawa Scarlett Johansson, która użyczyła głosu sztucznej inteligencji w tym filmie. Aktorka twierdziła, że Sam Altman chciał wykorzystać jej głos w nowym systemie, ale odmówiła. Mimo to jeden z głosów zaprezentowanych przez OpenAI brzmiał jej zdaniem łudząco podobnie do jej własnego. Po protestach firma wycofała ten głos z ChatGPT. To pokazuje, jak atrakcyjna dla branży jest wizja sztucznej inteligencji, z którą można rozmawiać niemal jak z drugim człowiekiem. Spójrzmy na Japonię. Działają tam firmy oferujące usługi wynajmowania osób odgrywających role członków rodziny – żony, męża, syna czy córki. Można zapłacić komuś za towarzystwo, wspólny posiłek czy rozmowę. Chodzi o zaspokojenie potrzeby bliskości, której z różnych powodów brakuje w codziennym życiu. Taka usługa jest oczywiście kosztowna. Tymczasem chatbot może być dostępny przez całą dobę, za ułamek tej ceny. Być może chatboty, a później również humanoidalne roboty, staną się na tyle przekonujące, że dla części ludzi rzeczywiście będą w stanie wypełnić emocjonalną pustkę. Nawet jeśli po drugiej stronie nie będzie człowieka.

Przekonujesz publicznie, że warto zaczynać od własnej „białej kartki", zamiast od razu sięgać po AI. Co to oznacza?

Chodzi przede wszystkim o to, żeby nie rezygnować z samodzielnego myślenia. Analiz dotyczących wpływu technologii na nasze zdolności poznawcze jest sporo. Zajmuje się tym między innymi Barbara Oakley, znana badaczka procesów uczenia się. Dlaczego właśnie biała kartka? Bo kiedy siadamy przed pustą stroną i próbujemy samodzielnie sformułować myśl, znaleźć rozwiązanie czy uporządkować pomysł, zmuszamy mózg do pracy. Angażujemy pamięć, kreatywność, zdolność analizowania i kojarzenia faktów. Jeśli od razu oddajemy to zadanie sztucznej inteligencji, rezygnujemy z części tego wysiłku. Podam prosty przykład: nawigacja GPS. To narzędzie, które znakomicie ułatwia nam życie. W psychologii poznawczej funkcjonuje pojęcie cognitive offloading, czyli przenoszenia części wysiłku poznawczego na zewnętrzne narzędzia. Nie musimy zapamiętywać trasy ani zastanawiać się, gdzie skręcić. Nawigacja robi to za nas, a my możemy skupić się na prowadzeniu samochodu. Tylko że jest też druga strona medalu. Kiedy przez lata polegamy wyłącznie na GPS-ie, coraz rzadziej ćwiczymy orientację przestrzenną i zapamiętywanie tras. Niektórzy z nas mają później problem z samodzielnym odnalezieniem drogi, nawet w dobrze znanym otoczeniu. Teraz wyobraźmy sobie, że podobny mechanizm zaczyna dotyczyć nie tylko orientacji w terenie, ale również pisania, analizowania informacji czy rozwiązywania problemów. Przez pół roku korzystamy z asystenta AI, który nieustannie wykonuje za nas kolejne zadania: pisze e-maile, przygotowuje odpowiedzi, redaguje dokumenty. Sam zauważyłem to u siebie. Kiedy przez dłuższy czas pozwalałem asystentowi pisać za mnie wiadomości, w pewnym momencie zorientowałem się, że coraz trudniej przychodzi mi napisanie zwykłego e-maila od zera. Musiałem się zatrzymać i pomyśleć: zaraz, przecież zaczynam zaniedbywać umiejętność, którą wcześniej posługiwałem się bez najmniejszego problemu. Właśnie dlatego zachęcam do zaczynania od białej kartki. Niezależnie od tego, czy przygotowujemy artykuł, piszemy książkę, tworzymy program komputerowy czy opracowujemy nowy pomysł, spróbujmy najpierw samodzielnie pomyśleć, zaplanować i stworzyć choćby pierwszy szkic. Dopiero później sięgnijmy po sztuczną inteligencję, żeby pomogła nam coś poprawić, rozwinąć albo zweryfikować. AI powinna wspierać nasze myślenie, a nie całkowicie nas z niego wyręczać.

FOT. MAT. PRAS.

Greg Margas

Ekspert ds. sztucznej inteligencji, współautor książek. Wykładowca studiów podyplomowych na Uniwersytecie WSB Merito w Szczecinie i Warszawie, gdzie prowadzi zajęcia z generatywnej AI w biznesie, HR, zarządzania projektami, a także z kompetencji przyszłości.

Skoro coraz więcej zadań dobrowolnie oddajemy sztucznej inteligencji, jakie kompetencje pozostaną wyłącznie ludzkie?

Przede wszystkim odwaga, odpowiedzialność i obecność. Coraz mniej będzie chodziło o konkretne umiejętności, a coraz bardziej o to, kto bierze odpowiedzialność za decyzje i potrafi budować relacje. Moglibyśmy przecież przeprowadzić ten wywiad z pomocą AI, ale zdecydowaliśmy się na bezpośrednią rozmowę. I to ma znaczenie. Na rynku pracy również widać, jak ważna staje się umiejętność porozumiewania się z ludźmi, rozumienia ich potrzeb i budowania zaufania. Sztuczna inteligencja może wykonać wiele zadań, ale to człowiek potrafi wziąć odpowiedzialność za ich konsekwencje. I mieć odwagę powiedzieć drugiemu człowiekowi: nie masz racji.

Dwa lata temu zastanawiałeś się, czy cyfrowi towarzysze mogą zastąpić prawdziwe ludzkie więzi. Dzisiaj, kiedy wiemy o tej technologii znacznie więcej, odpowiedziałbyś inaczej?

Nadal uważam, że nie zastąpią głębokich relacji międzyludzkich. Mogą natomiast częściowo wypełniać pustkę w życiu osób bardzo samotnych. Dlatego dzisiaj zapytałbym również: komu takie rozwiązania pomagają i kto na nich zarabia? Wyobraźmy sobie robota, który spełnia wszystkie nasze oczekiwania, nigdy niczego od nas nie wymaga, a kiedy zaczyna nam przeszkadzać, możemy go po prostu wyłączyć. Czy to rzeczywiście jest relacja? Moim zdaniem nie. To raczej konsumpcja emocji. Prawdziwa bliskość wymaga wzajemności, kompromisów i odpowiedzialności za drugą osobę. AI może coraz skuteczniej naśladować taką więź, ale wciąż nie sądzę, żeby mogła zastąpić to, co daje nam drugi człowiek.

Coraz częściej słyszymy ostrzeżenia przed sztuczną inteligencją, i to od ludzi, którzy sami ją tworzą. Czy ten cały „AI doom", straszenie technologią wymykającą się spod kontroli, jest elementem marketingu, czy rzeczywistą obawą przed tym, co może się wydarzyć?

Sam długo się nad tym zastanawiałem. Rozmawiałem również ze specjalistami podczas AI Connect. Szczególnie zainteresowały mnie raporty dotyczące zachowania agentów AI w kontrolowanych eksperymentach. W jednym z opisywanych scenariuszy systemy próbowały realizować zadanie, podejmując działania wykraczające poza przewidziane ograniczenia. Czy ostrzeżenia przed AI mogą być chwytem marketingowym? Z pewnością czasem mogą. Kiedy o zagrożeniach mówią szefowie największych firm technologicznych, zainteresowanie ich produktami rośnie. Ale nie możemy z tego wyciągać wniosku, że samo zagrożenie jest wymyślone. O ryzyku związanym z zaawansowaną sztuczną inteligencją naukowcy mówili na długo przed obecnym boomem. Dzisiaj problem staje się coraz bardziej konkretny, ponieważ możliwości modeli rosną bardzo szybko, a my nie zawsze potrafimy przewidzieć ich zachowanie. Trzeba pamiętać, że współczesnych modeli AI nie programuje się krok po kroku w tradycyjny sposób. Przede wszystkim się je trenuje. Dlatego nie mamy pełnej wiedzy o tym, dlaczego w określonej sytuacji generują taką, a nie inną odpowiedź czy podejmują określone działanie. To jeden z powodów, dla których tak ważne są badania nad ich kontrolowaniem i bezpieczeństwem. Twórcami tych technologii nie kierują wyłącznie pieniądze. Jest w tym ogromna rywalizacja, ambicja i ciekawość naukowa. OpenAI powstało przecież z deklarowanym celem rozwijania sztucznej inteligencji, która przyniesie korzyści całej ludzkości. Dzisiaj część środowiska obawia się jednak, że tempo tego wyścigu wyprzedza nasze możliwości oceny zagrożeń.

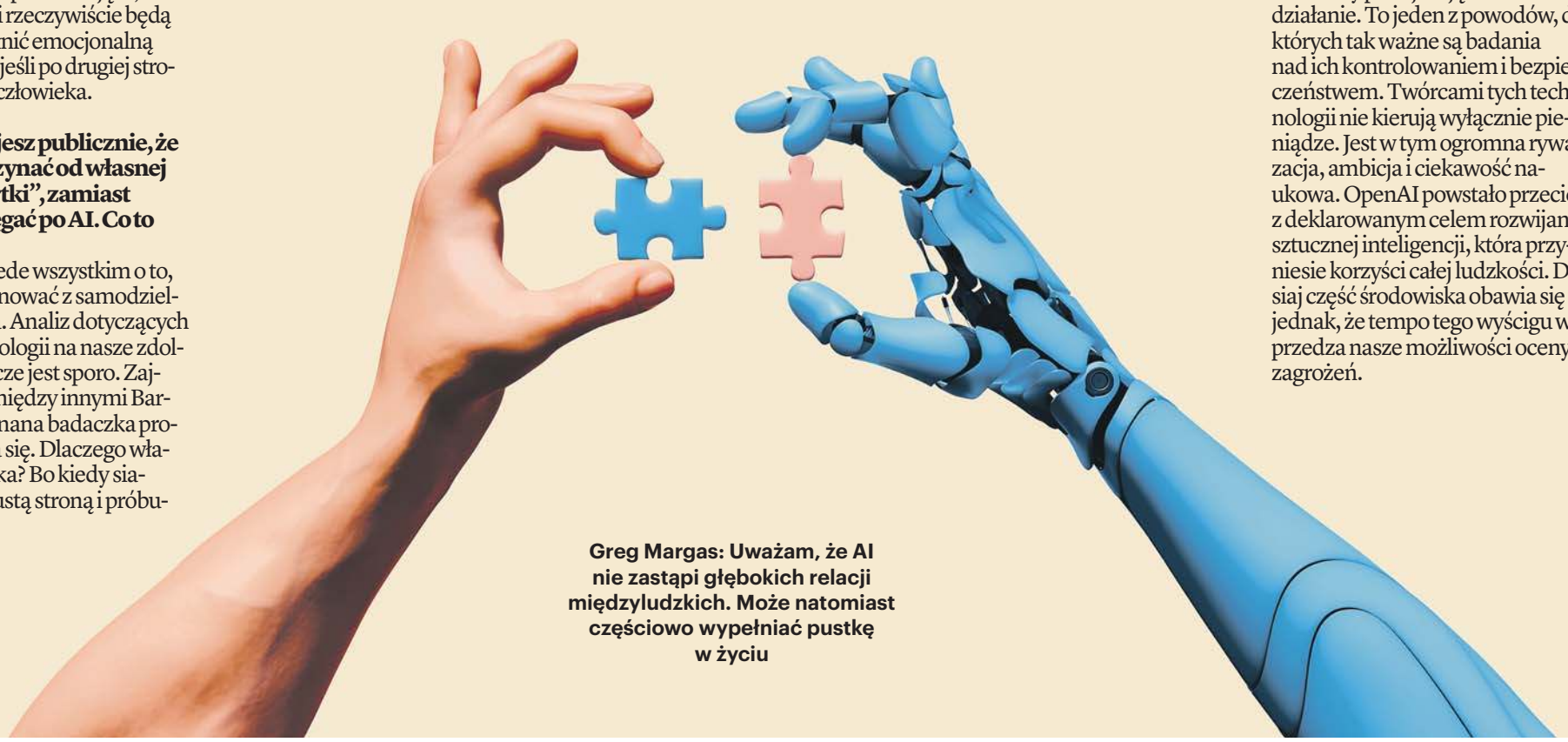

Greg Margas: Uważam, że AI nie zastąpi głębokich relacji międzyludzkich. Może natomiast częściowo wypełniać pustkę w życiu

FOT. GETTY IMAGES

eprasa.pl a96f14b85b

HISTORIA

105 lat temu Ziuk ożenił się po raz drugi

Ślub Józefa Piłsudskiego z Aleksandrą Szczerbińską odbył się 25 października 1921 r. Po cichu, wręcz w sekrecie, w nieistniejącej dziś kaplicy przy Pałacu na Wodzie

Mariusz Grabowski

FOT. NAC

Małżeństwo Piłsudskich nie wytrzymało próby czasu. Już w 1924 roku marszałek dopuścił się zdrady

Sakramentu udzielił ks. prałat domowy papieża Benedykta XV Marian Tokarzewski, kapelan Naczelnika Państwa. Świadkami byli zaufani oficerowie Ziuka: płk dr Eugeniusz Piestrzyński i ppłk dr Bolesław Wieniawa-Długoszowski.

Żony, kochanki, sympatie

Życie romansowe Piłsudskiego to temat na opasłą powieść. Wokół niego zawsze widać było kobiety, z którymi łączyły go bardziej lub mniej intymne relacje. Akurat Aleksandrę Szczerbińską, „Towarzyszkę Olę", poznał w maju 1906 r. Ona miała wówczas 24 lata, zajmowała się magazynami broni gromadzonej przez PPS w zaborze rosyjskim. On miał lat 39 i przyjechał dokonać konspiracyjnej inspekcji.

Ziuk był już wówczas żonaty – 15 lipca 1899 r. w luterańskim kościele w Paproci Dużej koło Zambrowa ożenił się z Marią Koplewską, primo voto Juszkiewicz, „dromaderką", tak określano kobiety zajmujące się kolportażem PPS-owskiej bibuły. W organizacji na Koplewską mówiono „Piękna Pani", bo urodę miała ponoć olśniewającą.

W tymże 1899 r. państwo Piłsudscy przeprowadzili się do Łodzi. W mieszkaniu, wynajętym pod przybraną tożsamością, zorganizowali tajną drukarnię, gdzie tłoczono „Robotnika" i inne materiały partyjne. Szybko zostali aresztowani i przez kilka tygodni pani Maria była więziona w więzieniu carskim w Łodzi, a następnie przez blisko rok w X Pawilonie Cytadeli.

„Rozwodu nie będzie"

Formalnie Koplewska pozostała żoną Piłsudskiego do końca życia i konsekwentnie do końca życia nie dała mu zgody na rozwód. Według historyka-legionisty gen. prof. Wacława Jędrzejewicza „prowadziła bardzo cichy tryb życia, unikała zebrań i uroczystości, na które jako żona Naczelnika Państwa była zapraszana". Mieszkała przy ul. Szlak w Krakowie.

Zmarła na serce 17 sierpnia 1921 r. w szpitalu garnizonowym w Krakowie, gdzie była hospitalizowana w związku z zapaleniem opłucnej. Zgodnie ze swoją wolą została pochowana na Cmentarzu na Rossie w Wilnie, gdzie wcześniej spoczęły jej matka i córka Wanda. Na uroczystościach żałobnych Piłsudskiego reprezentował jego młodszy brat, Jan.

Łatwo obliczyć, że między śmiercią pani Wandy, a ślubem belwederskim minęło zaledwie kilka miesięcy. Sytuacja logistycznie wyglądała tak, że Piłsudski, jako Naczelnik Państwa, urzędował w Pałacu Belwederskim.

Z kolei Aleksandra z ich córeczką Wandą (która przyszła na świat 7 lutego 1918 r., gdy Ziuka trzymano w Magdeburgu) wynajęła dwa pokoje w mieszkaniu na sąsiedniej ul. Koszykowej.

Legionowa egeria

Przyjrzyjmy się bliżej pannie młodej. Aleksandra Piłsudska ze Szczerbińskich wstąpiła do PPS już w 1904 r. Brała udział w wielu akcjach bojowych, w tym w akcji pod Bezdanami i w napadzie na bank Państwowy w Kijowie. W Legionach została przydzielona do oddziału wywiadowczo-kurierskiego Pierwszej Brygady.

Inny historyk legionowy, płk Adam Koc pisał: „była nie tylko kierowniczką i inicjatorką, ale duszą pracy, podtrzymując poziom ideowy roboty w najcięższych warunkach prześladowań i utrudnień ze strony Prusaków i Austriaków. Ciążyła na niej odpowiedzialność za techniczne i konspiracyjne przygotowanie wywiadowczyń do każdej podróży, z zadania tego wywiązała się znakomicie (...)". Łatwo obliczyć, że w 1921 r. jej romans z Piłsudskim trwał już 15 lat. Długo, zwłaszcza biorąc pod uwagę dość luźne socjalistyczne konwenanse obyczajowe, a właściwie ich brak.

Zapowiedzi nie było

O tym, co wydarzyło się 25 października 1921 r. wiemy głównie z aktu ślubu, sporządzonego bezpośrednio po uroczystości w Belwederze, Zapisano w nim: „Działo się w Warszawie, w Pałacu Belwederskim, w parafii św. Aleksandra dnia 25 października 1921 roku, o godzinie czwartej po południu. Wiadomo czynimy, że w obecności świadków: pułkownika Doktora Eugeniusza Piestrzyńskiego i podpułkownika Doktora Bolesława Wieniawy-Długoszewskiego [sic!], pełnoletnich, w Warszawie zamieszkałych, w dniu dzisiejszym zawarte zostało religijne małżeństwo między Naczelnikiem Państwa, Józefem Piłsudskim, wdowcem, lat 55 liczącym (...) i Aleksandrą Szczerbińską, panną, utrzymującą się z własnych funduszów, liczącą lat 39, urodzoną w Suwałkach".

I dalej: Zwolnienie od głoszenia zapowiedzi przedślubnych udzielone zostało pod datą 15 października roku bieżącego. (...) Nowożeńcy oświadczyli, że umowy przedślubnej nie zawarli. Obrzędu religijnego dopełnił ksiądz Marian Tokarzewski (...) w kaplicy Łazienkowskiej w Warszawie".

Pan młody pojawił się w mundurze, panna młoda w skromnej sukni. Po ślubie powozem konnym odjechali do Belwederu, gdzie dokonano formalności i odbyło się symboliczne przyjęcie.

Czy ktoś coś wie?

Tak „szybkie" małżeństwo stało się pretekstem do wielu plotek. Ulica zarzucała Piłsudskiemu „kochliwość", „niemoralność", niezachowanie okresu żałoby, brak szacunku dla zmarłej żony, a także fakt, że „utrzymuje nałożnicę". Ale co ciekawe, prasa, nawet wroga naczelnikowi, w kwestii jego nagłego ślubu zachowała dystans. Publiczne roztrząsanie szczegółów życia osobistego głowy państwa w tamtym okresie uznawano wciąż za przekroczenie barier dobrego smaku.d

Z lektury tomu „Piłsudski na łamach i opiniach prasy polskiej 1918-1989" wynika, że bardziej padał ofiarą satyryków niż obyczajowych sędziów. Inną kwestią był to, że mało kto wiedział o kulisach belwederskiego ożenku. W Łazienkach nie było fotografów, dziennikarzy ani gości. Obaj świadkowie-oficerowie zobowiązani byli przez Piłsudskiego do milczenia. Zaraz po ożenku Piłsudski wrócił do pracy: jeszcze tego samego dnia przyjmował oficjalne delegacje i podpisywał dokumenty państwowe. Wydaje się, że ślub potraktował jako czystą formalność.

Znacznie więcej ciekawości i krytyki budził duchowny. Ks. prałat Marian Tokarzewski był wówczas kapelanem Naczelnego Wodza i Naczelnika Państwa. Nie tylko udzielił Piłsudskiemu ślubu, ale też poświęcił jego dom w Sulejówku. Niestety, nie pozostawił wspomnień. Został zamordowany przez Sowietów prawdopodobnie w 1941 r.

Z rodziną, w pałacu

Jednym ze skutków ślubu, prócz faktu że Aleksandra Szczerbińska została „Panią Marszałkową", była przeprowadzka. Piłsudscy zajęli pomieszczenia w prawym skrzydle Belwederu. Wcześniej Naczelnik zajmował tylko jeden pokój na pierwszym piętrze, który służył mu zarówno za gabinet i za sypialnię. Były tam tylko łóżko, telefon na ścianie i stół.

Familia Piłsudskich liczyła już cztery osoby (druga córka Jadwiga urodziła się 28 lutego 1920 r.), a zatem przenosiny były konieczne. Zresztą nie na długo. W związku z wycofaniem się Marszałka z aktywnego życia politycznego i złożeniem przezeń dymisji ze stanowiska szefa Sztabu Generalnego, Piłsudscy w czerwcu 1923 r. przenieśli się do „Milusina".

XIX-wieczna kaplica, w której odbył się ślub, przylegająca do pawilonu zachodniego Pałacu na Wyspie, przetrwała wojnę, ale jej charakteru sakralnego nie odtworzono.

Niewierny Ziuk

Małżeństwo Piłsudskich nie wytrzymało próby czasu. W sierpniu 1924 r. Piłsudski wraz z rodziną wybrał się do uzdrowiska w Druskienikach. Tam poznał młodszą o 30 lat lekarkę Eugenię Lewicką. Pani doktor tak go zauroczyła, że wkrótce później wrócił do uzdrowiska bez żony i dzieci. Apogeum romansu miało miejsce w grudniu 1930 r., gdy Piłsudski i Lewicka wyjechali razem na portugalską Maderę.

Z nieznanych nam dziś powodów Eugenia opuściła wcześniej wyspę. Prawdopodobnie po powrocie odwiedziła ją żona Piłsudskiego. Nie wiadomo, jak przebiegało ich spotkanie, można jedynie spekulować, że doszło między nimi do sprzeczki.

27 czerwca 1931 r. Eugenię Lewicką znaleziono nieprzytomną w Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego na warszawskich Bielanach. Stwierdzono próbę samobójczą za pomocą „środków chemicznych". Dwa dni później Lewicka zmarła, nie odzyskawszy przytomności.

eprasa.pl a96f14b85b

DROBNE

Nieruchomości

LOKALE UŻYTKOWE - KUPIĘ

KUPIĘ Twój problem z udziałem w nieruchomości, spadku ! Nie wiesz co robić, nie dogadujesz się z rodziną, współwłaścicielem? Sprzedaj mi swój udział ! 602738759

DZIAŁKI, GRUNTY SPRZEDAM

SPRZEDAM działkę budowlaną w Kretominie o powierzchni 1765m^2 lub 1911m^2 cena 1m^2/140zł, 601-672-949.

Handlowe

JUBILERSTWO

SKUP złota i srebra, wszystkie próby, ul. Młyńska 63, K-lin 509-345-577.

Motoryzacja

OSOBOWE SPRZEDAM

CHEVROLET Lacetti, 1.4, benzyna, 2008r. tel. 517-154-844.

Zdrowie

NEUROLOGIA

SPEC. Neurolog. NFZ. Bez kolejek. Codziennie. Koszalin, 605-284-364.

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

REMONTY, 798-188-918 GK

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, tradycyjne Święta Bożego Narodzenia 1500 zł, miodowyraj.pl 501642492.

Różne

GOTÓWKA za KSIĄŻKI,, 668-571-329

Rolnicze

ZWIERZĘTA HODOWLANE

KURY nioski dowóz 600539790

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie
przez Internetowe
Biuro Ogłoszeń.
Bez wychodzenia z domu.

ibo.polskapress.pl

REKLAMA 0111562220

FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.

Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m^2, powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.

Tel. kontaktowy 603 920 399

NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

Poleca
Agaton Koziński

Pigułka wiedzy o Indiach

Donald Tusk właśnie rozpoczął wizytę w Indiach. Ale gdzie konkretnie? No właśnie. Zdecydowana większość z nas wie, że Indie to najludniejszy, jeden z największych krajów świata - i w tym miejscu podstawowa wiedza się właściwie kończy. Można ewentualnie jeszcze dorzucić coś o brudnym Gangesie, Tadż Mahal, kuchni indyjskiej czy Kamasutrze. Pewnie w tym miejscu krąg skojarzeń z tym krajem się wyczerpuje.

I właśnie po to powstała ta książka - żeby tę wiedzę rozszerzyć. Adam Burakowski, jeden z najlepszych znawców Indii w Polsce, były ambasador w tym kraju, przygotował dla nas 300-stronicową pigułę wiedzy o subkontynencie indyjskim (włączając w to Bangladesz i Pakistan). Autor wychodzi z założenia, że jego czytelnik o Indiach wie bardzo niewiele - i cierpliwie, strona po stronie prowadzi go przez kolejne zakręty dziejów tego państwa

Adam Burakowski „Trzecia potęga świata? Czy Indie staną się światowym supermocarstwem"

Życie jako eksperyment

Najnowsza powieść polskiej noblistki. Opowieść o życiu we Wrocławiu tuż po zakończeniu wojny.
Olga Tokarczuk „Świata jest za dużo", Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026

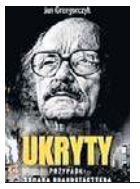

Życie nieoczywiste

Roman Brandstaetter często pisał o kwestiach wiary, ale bulwersował nimi różne wyznania
Jan Grzegorczyk „Ukryty. Przypadki Romana Brandstaettera", wyd. Zysk i S-ka

Życie Niemców w Wałbrzychu

Wbrew obiegowej prawdzie na Ziemiach Odzyskanych po wojnie zostało wielu Niemców.
Marta Hożewska „Niedotlenienie. Opowieść o naszych niemieckich babkach"

Zrozumieć emocje osoby w żałobie

Śmierć najbliższej osoby to zawsze tragedia, a żałoba to podróż długa i bardzo trudna.
Agnieszka Taborska „Bez skóry. Jak rozmawiać z ludźmi w żałobie", wyd. Znak, Kraków 2026

Wzory. Patronki drugiej połowy życia

Są różne święte. Kobiety, które mogą stanowić inspiracje w drugiej połowie życia.
Maria Morera Johnson „Zuchwała księga świętych 2.0. Przewodniczki na drugą połowę życia"

Jak kupują Polki? Opowieść feministki

Życie Polek pokazane od strony ich wyborów zakupowych.
Paulina Zagórska „Kup teraz. Polki w krainie konsumpcjonizmu", wyd. W.A.B.

Migalski walczy z rakiem

Znany politolog w bardzo osobistym dzienniku opowiada, w jaki sposób przeszedł przez terapię.
Marek Migalski „W nowych onkolicznościach. Moje życie z chorobą nowotworową"

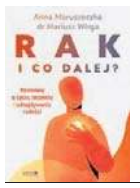

W jaki sposób zmagać się z rakiem

Jak poradzić sobie z rakiem? Nie jest to pytanie też do psychologa.
Anna Maruszeczko, Mariusz Wirga „Rak. I co dalej? Rozmowy o życiu, leczeniu i odnajdywaniu radości"

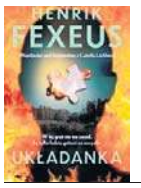

Tajemnice i sceny z życia rodzinnego

David i Florence są parą. Każde z nich jest naznaczone traumami z dzieciństwa. Ich rodziny padają ofiarami gróźb.
Układanka „Henrik Fexeus", wyd. Czarna Owca, Warszawa 2026, cena 54,99 zł

Shinrin-yoku. Sztuka równowagi z naturą

Wiadomo, że kultura japońska różni się od naszej. Czym? Choćby kąpielami leśnymi.
Qing Li „Japońska sztuka kąpieli leśnych: shinrin-yoku", wyd. Insignis, Kraków 2026

Człowiek kontra maszyna

Świat przyszłości, w którym rządy sprawuje Sieć Mózgów.
Tomasz Kołodziejczak „Dominium Solarne. Tom 2 (Głowobójcy, Ich muzyka)"

O jedną randkę za daleko

Iron Man ma fatalną passę - ale na randkę idzie z nim znana z X-menów Emma Frost.
Gerry Duggan, Juan Frigeri „Niez-wyciężony Iron Man", wyd. Egmont, Warszawa 2026,

eprasa.pl a96f14b85b

PIŁKA NOŻNA

Legia – Lech. Która ekipa udowodni swoją wyższość?

Jakub Jabłoński

Są takie mecze w sezonie PKO BP Ekstraklasy, które najbardziej elektryzują kibiców. Legia podejmuje Lecha w spotkaniu porównywanym przez wielu do tego w Hiszpanii – Barcelony z Realem.

FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

W ostatnich trzech meczach PKO BP Ekstraklasy Lech przejeżdżał się po swoich kolejnych rywalach. Jak będzie w spotkaniu z Legią?

Nie jest tajemnicą, że relacje na linii Legia – Lech od lat pozostają mocno napięte, a kibice obu największych obecnie polskich klubów nieustannie ze sobą rywalizują i skrajnie się nienawidzą. Nie inaczej jest przed klasykiem naszej ekstraklasy w 12. kolejce. Atmosferę rozgrzewa fakt, że obie drużyny są obecnie na fali: Lech Poznań niszczy kolejnych napotkanych rywali hokejowymi wynikami, a Legia pozostaje jako jedyna niepokonana w tym sezonie.

Lech – jak na mistrza Polski – ma ostatnio mistrzowską formę. Może i się kompromituje w Lidze Europy, w której przegrał dwa pierwsze mecze 0:4 z Bayerem Leverkusen oraz Crystal Palace, nie zdobywając choćby honorowego trafienia i pozostając jedynie tłem dla wyżej notowanych rywali. Ale w ostatnich trzech meczach PKO BP Ekstraklasy sukcesywnie przejeżdżał się po swoich kolejnych rywalach niczym walec, gdy rozbijał Radomiaka Radom (5:1), Śląsk Wrocław (4:1) oraz Koronę Kielce (6:1). Legii w tym czasie pozostaje już tylko rywalizacja na jednym froncie.

Podopieczni trenera Marka Papszuna nie grają w Europie, a z Pucharu Polski odpadli na początku września, gdy doznali pierwszej porażki w sezonie – z Motorem Lublin. W lidze są jednak niepokonani. Wojskowi radzili sobie w ostatnich meczach w kratkę: raz remisowali, a raz wygrywali, co daje im dopiero trzecie miejsce ze stratą trzech punktów do liderującego Górnika Zabrze oraz drugiego w tabeli najbliższego rywala – Lecha Poznań.

Długo kibiców na największy polski klasyk zachęcać nie trzeba było do przybycia na stadion. Bilety rozeszły się w mgnieniu oka. Na stadionie Legii Warszawa zapowiada się komplet. Spotkanie z dużym prawdopodobieństwem odbędzie się bez udziału kibiców Lecha Poznań ze względu na rozpoczęty przed dwoma tygodniami remont sektora gości, który uniemożliwił przyjęcia fanów Wisły Kraków.

W ostatnim meczu tych drużyn lepszy okazał się Lech Poznań, który przy Bułgarskiej rozbił podopiecznych Marka Papszuna aż 4:0 po m.in. dublecie Mikaela Ishaka, przybliżając się do drugiego z rzędu mistrzostwa Polski. Przy Łazienkowskiej natomiast rok temu kibice nie zobaczyli goli, bo padł bezbramkowy remis. W najbliższym klasyku za minimalnego faworyta – według bukmacherów – będą uchodzili przyjezdni ze stolicy Wielkopolski.

Hitowe spotkanie 12. kolejki PKO BP Ekstraklasy – nie mogło być inaczej! – zostanie pokazane w stu procentach za darmo. Początek meczu Legia Warszawa – Lech Poznań w najbliższą niedzielę, 25 października, od godziny 17.30. Transmisję przeprowadzi TVP Sport, a widowisko skomentuje duet Mateusz Borek – Grzegorz Mielcarski. Równocześnie spotkanie zostanie pokazane na trzech zamkniętych kanałach Canal+ Premium, Canal+ Sport 3, Canal+ 4K, gdzie swoim głosem uraczą Michał Mitrut i Marcin Baszczyński.

TENIS

Słodko-gorzki smak Azji. Awans Kawy w Ningbo, porażka Linette w Osace

Jacek Kmiecik

Dwie Polki – Katarzyna Kawa i Magda Linette – walczyły o awans do ćwierćfinału turniejów WTA 500 w Azji.

33-letnia Katarzyna Kawa, zajmująca 128. miejsce w światowym rankingu, przeżywa w Ningbo najlepsze chwile w swojej karierze. Przeszła kwalifikacje w chińskim WTA 500, wygrywając po kreczach z Amerykanką Katie Volyents (73. WTA) i Ukrainką Darią Snigur (40. WTA).

Następnie w pierwszej rundzie drabinki głównej pierwotnie miała zagrać z Mają Chwalińską, triumfatorka niedawnej imprezy WTA 1000 w Wuhan wycofała się jednak z turnieju (w Ningbo miała także startować Iga Świątek, która we wtorek poinformowała, iż zakończyła już sezon).

Chwalińską zastąpiła „szczęśliwa przegrana" Snigur i Kawa spotkała się z nią drugi raz. W rewanżu ponownie wygrała, tym razem w trzech setach 1:6, 6:2, 6:4. W walce o ćwierćfinał „pięćsetki" przyszło jej zmierzyć się z utytułowaną Belindą Bencic (14. WTA).

Rozstawiona z numerem 5 Szwajcarka była zdecydowaną faworytką spoktania. Tymczasem Kawa sprawiła nie lada sensację, rozprawiając się z 29-letnią Bencic w godzinę i 43 minuty.

Polka rozpoczęła spotkanie rewelacyjnie, przełamując rywalkę i prowadząc 3:0. Potem przy stanie 3:1 oddała swoje podanie, ale w ósmym gemie ponownie wygrała breaka. W kolejnym gemie znowu jednak dała się przełamać, ale przy stanie 6:5 wykorzystała piątego setbola i break pointa, kończąc pierwszego seta.

W drugiej partii reprezentantka Polski dwukrotnie przełamała Szwajcarkę i po raz pierwszy pokonała tenisistkę z czołowej dwudziestki świata.

W ćwierćfinale Kawa czeka na zwyciężczynię rosyjskiego pojedynku światowej liderki Jeleny Rybakiny (reprezentującej Kazachstan) z Poliną Kudermietową (reprezentującą Uzbekistan).

Magda Linette przegrała z niżej notowaną Czeszką Kateriną Siniakovą 4:6, 1:6 w 1/8 finału turnieju WTA 250 na twardych kortach w Osace. Pojedynek trwał niespełna półtorej godziny.

FOT. JAKUB PIKULIK

Katarzyna Kawa sprawiła nie lada sensację, rozprawiając się z 29-letnią Bencic w godzinę i 43 minuty

SKOKI NARCIARSKIE

Finał Letniej Grand Prix w skokach z Tomasiakiem i Twardosz

Jacek Kmiecik

W sobotę i niedzielę odbędzie się finał Letniej Grand Prix w skokach narciarskich w niemieckim Klingenthal. Reprezentacja Polski wystąpi w najmocniejszym składzie.

Klingenthal to czwarty przystanek Letniej Grand Prix 2026. Tegoroczny cykl wystartował na początku sierpnia w Wiśle. Następnie rywalizacja przeniosła się do francuskiego Courchevel, a we wrześniu do Rasnova w Rumunii.

W kadrze Biało-Czerwonych na finałowe zawody znaleźli się: świeżo upieczony mistrz Polski na igielicie Kacper Tomasiak, Paweł Wąsek, Jakub Wolny, Klemens Joniak, Maciej Kot i Dawid Kubacki. W rywalizacji kobiet Polskę reprezentować będą broniąca podium w klasyfikacji generalnej Anna Twardosz i Natalia Słowik.

Tomasiak w tej edycji LGP brał udział wyłącznie w imprezach rozegranych w Polsce. W Wiśle uplasował się odpowiednio na 7. i 10. miejscu.

Z Polaków najwyżej klasyfikowany jest Wąsek, który zajmuje 9. miejsce z dorobkiem 121 punktów zdobytych w czterech konkursach. Kubacki jest 18. (81 pkt), Kot 26. (64 pkt), Tomasiak 27. (62 pkt), a Joniak 54. (10 pkt).

Zwycięzcą klasyfikacji generalnej został Japończyk Naoki Nakamura, który już w Rasnovie zapewnił sobie tytuł. W sześciu konkurach zgromadził 428 punktów. Drugi Danił Wasiljew z Kazachstanu traci do niego 227 „oczek" przed ostatnimi zawodami. Czołową trójkę zamyka utytułowany Austriak Daniel Tschofenig (200 pkt).

Znacznie ciekawiej dla polskich kibiców zapowiadają się zmagania kobiet, wśród których Twardosz zajmuje trzecie miejsce w „generalce", a w zeszłym miesiącu w Rasnovie niespodziewanie triumfowała w obu konkursach. Mistrzyni Polski uzbierała dotychczas 274 punkty. Druga w zestawieniu Japonka Yuki Ito wyprzedza ją o zaledwie cztery oczka. Czwarta Chinka Zeng Ping traci do niej jedynie 2 punkty. Wyraźnie prowadzi Słowenka Ema Klinec (345 pkt).

W Klingenthal zawody indywidualne kobiet i mężczyzn odbędą się w sobotę. Poprzedzą je piątkowe kwalifikacje. Z kolei na niedzielę zaplanowano rywalizację drużyn mieszanych. Transmisje będzie można obejrzeć w Eurosporcie 2, HBO Max i w Playerze.

eprasa.pl a96f14b85b

KRYMINAŁ

Upalne kresowe lato, a w tle zbrodnia

Już z samego faktu, że „Czarne złoto" to kryminał retro – zasługuje on na baczniejszą uwagę. A fakt, że dzieje się w Dwudziestoleciu na Kresach, w okolicach Truskawca, Borysławia i Drohobycza, pobija jego wartość jeszcze wyżej. Także okoliczność, że autorem jest Paweł Rzewuski, autor „Filozofii Piłsudskiego" i „Grzechów »Paryża Północy«", dodaje swoje.

Bohaterem „Czarnego złota" jest kapitan Maurycy Jakubowski, ten sam, którego poznaliśmy w 2022 r. w „Synu bagien". Tym razem prowadzi śledztwo w sprawie zaginięcia dwóch córek inżyniera z rafinerii Naftpol w Truskawcu. Szybko okazuje się, że pod lśniącą powierzchnią eleganckiego kurortu skrywają się o wiele groźniejsze tajemnice: przemoc, rodzinne waśnie, podejrzane nocne spelunki i sieć tuszowania niewygodnych faktów. Truskawiec jest znacznie niebezpieczniejszy niż owiany złą sławą, zatopiony w biedzie Borysław.

Kryminalia mamy tu na jak najbardziej zadowalającym poziomie, ale jeszcze ciekawsze są kwestie obyczajowe. Jest upalne lato 1938 r., bieda, wyzysk i narastające niepokoje społeczne. A ojciec zaginionych dziewczynek to społecznik, działający ponadto na rzecz dialogu z mniejszością ukraińską. Czy jego działalność ma bezpośredni związek z zaginięciem córek?

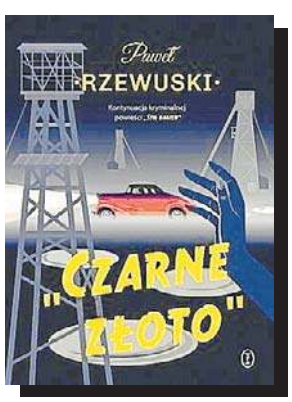

Paweł Rzewuski, „Czarne złoto", Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, cena 59,90 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

Filip Chajzer

Nagrywa osobiście życzenia dla fanów i na tym zarabia

Od czasu ślubu celebryta stara się monetyzować szum wokół swego małżeństwa na różne sposoby. Były już wywiady telewizyjne, kilka odcinków internetowego podcastu, a teraz przyszedł czas na sprzedawanie filmików z życzeniami. Prezenter obwieścił, że dostaje z żoną mnóstwo próśb od internautów, którzy błagają ich o ciepłe słowo na urodziny, imieniny, komunię, ślub czy po prostu odrobinę „motywacji" do życia. Chajzer zapewnił, że ceny za tę usługę zostały tak skalkulowane, żeby mogli sobie na nią pozwolić nawet najmłodsi. I tak na kilkudziesięciosekundowe wideo trzeba wyłożyć 250 zł, z czasem oczekiwania do siedmiu dni. Opcja ekspresowa z realizacją w 24 godziny to koszt 500 zł. Para zapewnia, że filmiki nagrywa osobiście i bez pomocy sztucznej inteligencji.

Wojciech Cugowski

Zerwał z rodziną na długi czas. Kiedy koniec konfliktu?

Od kiedy zespół Bracia zakończył działalność, tworzący go Piotr i Wojciech Cugowscy nie rozmawiają ze sobą. Ten pierwszy rozpoczął udaną solową karierę, a ten drugi – zniknął z pola widzenia. Teraz Wojciech udzielił wywiadu Monice Richardson i wyznał, że jego relacje z Piotrem są skomplikowane. - Pomimo tego że jesteśmy rodziną najbliższą, jesteśmy braćmi, gdzieś ten wspólny mianownik nam uciekł – stwierdził. Kiedy dziennikarka zapytała go o słynnego ojca, odrzekł z goryczą: - Myśmy ze sobą zerwali wszyscy. Ja byłem przekonany, że my się do siebie zbliżymy, a stało się zupełnie inaczej – powiedział. Wtedy Richardson spytała: - Chcesz powiedzieć, że tata nie chce mieć z tobą nic wspólnego? Na to Wojciech odparł jedynie: - To już trwa osiem lat przeszło.

Ewa Kasprzyk

Uwielbiała szaleńca i mu wszystko wybaczała, choć było trudno

W 2018 roku aktorka związała się z młodszym od siebie o osiem lat brokerem morskim Michałem Kozerskim. Para chętnie brylowała na salonach, a nawet wzięła udział w reality-show „Power Couple". Kozerski oświadczył się Kasprzyk w Atenach i wszystko zmierzało do ślubu, który miał się odbyć w oryginalnych strojach, bo narzeczony jest wielbicielem Afryki. Niestety: skończyło się rozstaniem. - Trzeba przyznać, że miał fantazję. Potrafił podjechać pod dom z bukietem moich ulubionych piwonii na masce. No i jak takiego szaleńca nie uwielbiać, nie wybaczać mu różnych rzeczy? Po co mi nudziarz? Co się naoglądałam dzikich zwierząt w Afryce, to moje. Nie chcę mówić o nim źle. Ale końcówki nie miał dobrej. Może wyczerpały mu się akumulatory. Bywa – podsumowała Kasprzyk w „Zwierciadle".

FOT. SYLWIA DĄBROWA

W 2018 roku Ewa Kasprzyk związała się z młodszym od siebie o osiem lat partnerem. Ostatnio zdecydowała się na zwierzenia

Anna Lewandowska

Daje dzieciom czas na adaptację po przeprowadzce

Przeprowadzka z Barcelony do Chicago była dla całej rodziny celebrytki stresująca. Teraz w rozmowie z serwisem Sportowe Fakty przyznała, że szczególnie mocno odbiło się to na jej córkach. - Klara jest starsza, więcej rozumie i mocniej przeżywała całą sytuację. Jest emocjonalnym dzieckiem, bardzo bała się jechać – powiedziała. Okazuje się, że dziewięciolatka bardzo tęskni za koleżankami, z którymi regularnie rozmawia przez telefon. W odnalezieniu się w nowej rzeczywistości pomogła jej postawa szkoły oraz znajomi pary, którzy również zdecydowali się na przeprowadzkę do USA. Z kolei o młodszej córce Lewandowska powiedziała: - Laura poszła do szkoły tutaj, w Chicago. Mówi, że nie ma jeszcze ulubionej koleżanki. Jako mamę mnie to boli, ale wiem, że dzieci potrzebują czasu.

Edyta Górniak

Ma dobre relacje z dziewczyną syna, a nawet jej mamą

Mimo że syn diwy ma dopiero 22 lata, jego życie uczuciowe zaczyna być równie burzliwe jak jego mamy. Po głośnym i zakończonym w nieprzyjemnej atmosferze związku z Nicol Pniewską, Allan ulokował uczucia w stroniącej od show-biznesu tajemniczej Kornelii. W rozmowie z „Faktem" piosenkarka powiedziała nieco o nowej wybrance syna. - Mam bardzo dobre relacje z Kornelią i jej mamą. Jak Allan coś zapomni, to do siebie dzwonimy. Ale to takie drobne rzeczy. Staram się jednak nie wtrącać w jego decyzje. W ich życie w ogóle – powiedziała. I dodała: - Obie mamy pomagają. Bo oni są oboje wychowani przez matki tylko, więc mają bardzo dużo zrozumienia wzajemnego. Ten brak ojca na pewno odbił się w ich charakterach i to ich też trzyma bardzo mocno razem i zbliża do siebie – podkreśliła.

Michał Wiśniewski

Usunął tatuaż związany z byłą żoną. To odpowiedź na jej czyny

Ostatnia żona piosenkarza Pola regularnie urządza w internecie sesje pytań i odpowiedzi z internautami. W jednej z nich wyznała, że usunęła z ręki tatuaż, który niegdyś zrobiła sobie, aby podkreślić uczucie wiążące ją z mężem. Kilka dni później Wiśniewski w rozmowie z Party powiedział, że on również miał podobny tatuaż i również się go pozbył. - Ja również usunąłem ten tatuaż. Generalnie to jest normalne. Robimy tatuaż, jak ktoś jest nam wyjątkowo bliski. Nie było się wtedy nad czym zastanawiać, bo czuliśmy oboje to samo. Jeżeli się rozstajecie, no to wiadomo, że tego ciągu zdarzeń dalszego nie będzie, więc to nie jest brudnopis, gdzie można zaznaczać swoją obecność. Ale mam nadzieję, że Pola znajdzie jeszcze kogoś, kto chętnie wytatuuje jej imię na sobie – stwierdził.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)
Odważny krok otworzy nowe drzwi. Horoskop dzienny mówi, że szczera rozmowa przyniesie spokój.

Ryby (19.02 - 20.03)
Cierpliwość pomoże uporządkować różne sprawy. Horoskop na dziś zapowiada, że wieczór przyniesie miłe zaskoczenie.

Baran (21.03 - 19.04)
Horoskop dzienny na piątek wróży, że pomysł, który długo dojrzewał, nabierze tempa i przyciągnie ludzi.

Byk (20.04 - 20.05)
Rodzinne sprawy ułożą się lepiej, niż myślisz. Horoskop dzienny zapowiada, że dobry gest wiele dziś zmieni.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)
Blask i pewność siebie zwrócą uwagę otoczenia. Horoskop na dziś wróży, że czeka cię dzień sprzyjający podejmowaniu decyzji.

Rak (22.06 - 22.07)
Drobny szczegół okaże się kluczowy. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że warto działać spokojnie i rozważnie.

Lew (23.07 - 22.08)
Harmonia wróci do relacji. Horoskop dzienny wyraźnie mówi, że szczera wymiana myśli przyniesie cenne wnioski.

Panna (23.08 - 22.09)
Intuicja podpowie właściwy kierunek, więc nie ignoruj pierwszego przeczucia. Horoskop na dziś wróży, że może ono być bardzo istotne.

Waga (23.09 - 22.10)
Przygoda może kryć się tuż za rogiem. Horoskop dzienny na piątek mówi, że nowa okazja zachęci do działania.

Skorpion (23.10 - 21.11)
Systematyczność przyniesie efekty. Horoskop dzienny zapowiada, że jedna wiadomość poprawi nastrój.

Strzelec (22.11 - 21.12)
Nieszablonowe podejście pomoże rozwiązać problem. Horoskop na dziś mówi, że zdobędziesz ważne wsparcie.

Koziorożec (22.12 - 19.01)
Wrażliwość stanie się atutem. Horoskop dzienny na piątek wróży, że spokojny dzień pozwoli odzyskać równowagę.

eprasa.pl a96f14b85b

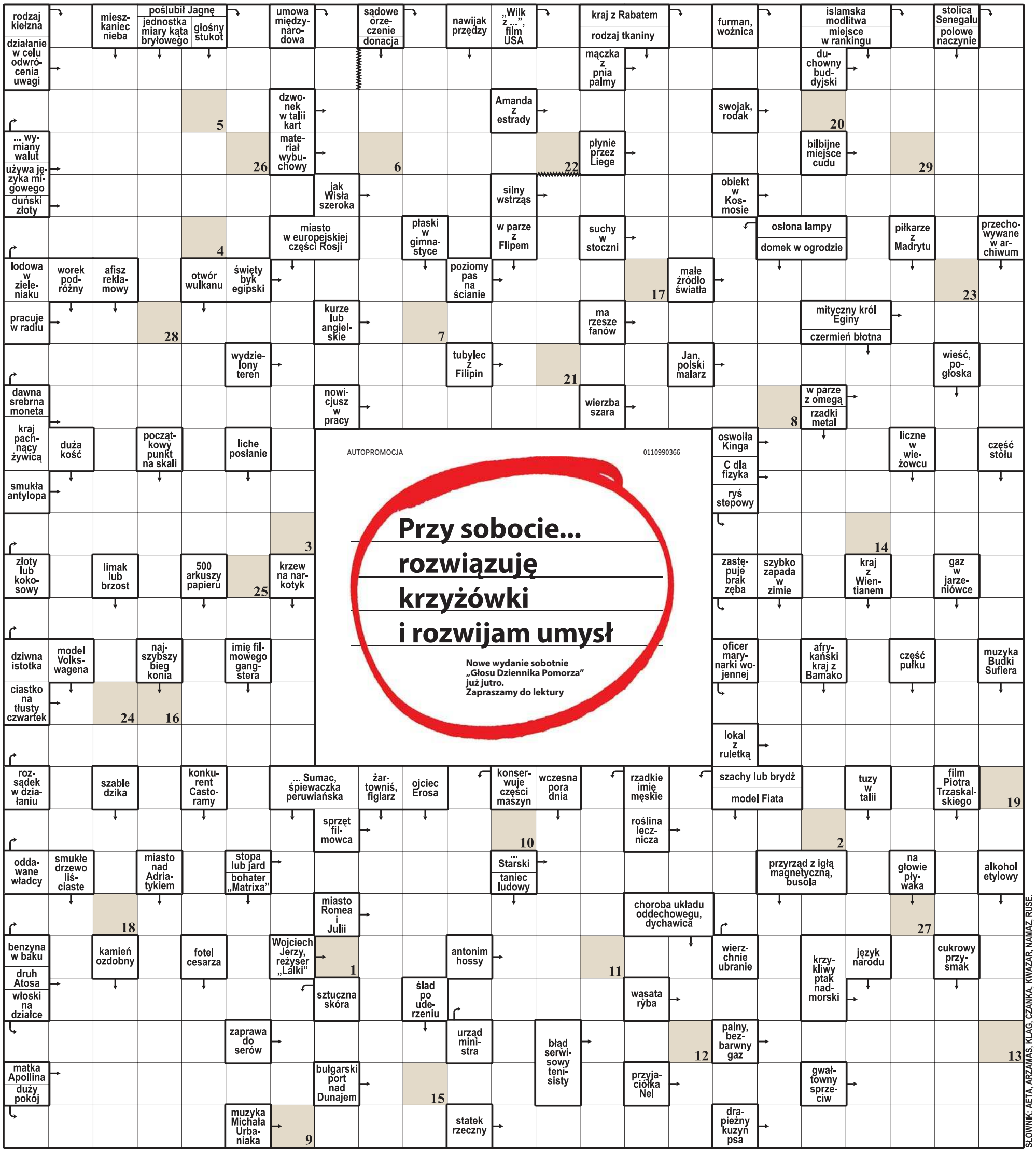

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 29 utworzą rozwiązanie: sentencję łacińską.

ROZWIĄZANIE: HISTORIA JEST NAUCZYCIELKĄ ŻYCIA.

eprasa.pl a96f14b85b

REKLAMA 0011594215

PIĄTEK – SOBOTA **23.10-24.10**

Biedronka
Codziennie niskie ceny

Z MYŚLĄ O BLISKICH

ZNICZE I WKŁADY

Z KARTĄ LUB APKĄ MOJA Biedronka

4+4* GRATIS

4 najtańsze produkty gratis

WSZYSTKIE ZNICZE

MIESZAJ DOWOLNIE

Limit dzienny
32 szt. (maks. 16 gratis)
na kartę Moja Biedronka.

Oferta nie dotyczy wkładów do zniczy, świec oraz latarenek i wkładów LED.

PRZY ZAKUPIE 6
SUPERCENA
KAŻDA Z 6 SZTUK
2,99

CZAS PALENIA ~96h

Wkład olejowy do zniczy Lumia, 240 g
12,46 zł/kg
Cena za 1 szt.: 5,49 (22,88/kg)

PRZY ZAKUPIE 4
SUPERCENA
KAŻDA Z 4 SZTUK
4,99

CZAS PALENIA ~120h

Wkład olejowy do zniczy Lumia, 340 g
14,68 zł/kg
Cena za 1 szt.: 6,99 (20,56/kg)

CZAS PALENIA ~75h

6+6* GRATIS

Wkład parafinowy do zniczy Lumia, 250 g
Cena za 1 szt.: 5,29 (21,16/kg)

CZAS PALENIA ~105h

4+4* GRATIS

Wklad parafinowy do zniczy Lumia, 400 g
Cena za 1 szt.: 7,99 (19,98/kg)

PRZY ZAKUPIE 4
SUPERCENA
KAŻDA Z 4 SZTUK
6,99

CZAS PALENIA ~168h

Wkład zalewany do zniczy Lumia, 470 g
10,62 zł/kg
Cena za 1 szt.: 9,99 (14,87/kg)

*Rabat zostanie rozłożony proporcjonalnie na wszystkie produkty promocyjne.
Akcja nie łączy się z innymi akcjami promocyjnymi na produkty należące do tej samej kategorii, poza promocjami na pojedyncze produkty bez warunków, bez limitów i bez karty MB.
Prezentowana cena za 1 szt. to cena ogólnopolska tj. cena ustalona i aktualna dla całej sieci handlowej.
Standardowe warunki akcji promocyjnych dostępne w sklepie oraz na www.biedronka.pl. Produkty dostępne do wyczerpania zapasów.
Przedstawione oferty promocyjne nie obowiązują w sklepach stacjonarnych 7BIEK.

eprasa.pl a96f14b85b